

Emilie Rosę

*Bardzo szczęśliwe
zakończenie*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tej nocy uratuje ranczo. Za wszelką cenę.

Toni Swenson przygryzła wargę, z uwagą przyglądając się mężczyznom ubranym w dżinsy i kowbojskie kapelusze, tłoczącym się przy wejściu na Narodowe Finały Rodeo. Usiłowała wypatrzeć tego jednego, którego geny przekazałyby jej synowi miłość do koni, bydła i rozległych przestrzeni. Musi urodzić syna.

Ruszając za tłumem, Toni przełknęła ślinę i otarła spocone dłonie o dżinsy. Łomot serca zdawał się głużyć wszechobecny hałas. Oddychała głęboko, wciągając dobrze znane zapachy, nieodłącznie związane z rodeo: grillów i meksykańskich potraw, kurzu i bydła.

Niespodziewanie odżyło wspomnienie szczęśliwych chwil spędzonych z dziadkiem. Mógł jeszcze pożyć. Serce Toni ścisnęło się boleśnie. Kochała go, ale czemu, stawiając jej ultimatum, zmuszał ją do zrobienia czegoś, co było niezgodne z jej przekonaniami?

Siadając na twardym krześle widowni, zastanawiała się, jak zdołała wytrzymać tyle czasu bez rodeo. Kiedyś przychodziła tu co roku z dziadkiem, który

usiłował upilnować wnuczkę w tłumie kowbojów - co nie było łatwym zadaniem, przyznała w myślach.

Kowboje i bydło, ten świat zawsze ją fascynował. Tego wieczoru ujeżdżacz, wieczny włóczęga bez domu, który wykorzystuje i porzuca przygodne kobiety, był kimś, kogo potrzebowała. I nie miała wyboru.

Ochrypli, barowy głos ściągnął uwagę Toni na przechodzących nieopodal mężczyzn.

- Pamiętaj o zasadach. Plecy proste. Jedną ręką w powietrzu, przed sobą. A kiedy zlecisz, wiesz, ile sił w nogach. Poradzisz sobie, tylko nie pękaj.

Ciemnowłosa, świetnie zbudowany mężczyzna poklepał po ramieniu młodszego kolegi. Toni zadrżała, widząc, jak napinają się potężne mięśnie przedramienia; w przyływie złości musiały mieć niszczycielską siłę. Stał tuż obok niej. Czarna, skórzana kurtka podkreślała szerokie bary, a obcisłe dżinsy opinały się na długich nogach. Sądząc po numerze na plecach, był zawodnikiem. Już samo władcze brzmienie głosu płaowało go na pozycji zwycięzcy.

Przez chwilę rozglądał się dookoła, by wreszcie odwrócić się w kierunku Toni. Dziewczyna zamarła. Błysk ciemnych oczu spod ronda czarnego kapelusza przeszył ją niczym strzałą. Nieznajomy wyglądał jak ucieleśnienie jej najskrytszych marzeń: wydurna szczęka, kwadratowy podbródek i mocno zarysowane kości policzkowe. Był ideałem twardego, nieustępliwego faceta. Z ociąganiem odwróciła głowę; nie tego potrzebowała na dzisiejszą noc. Przeniosła spojrzenie na stojącego obok, błękitnookiego młodzieńca.

Tak, o takiego właśnie młodzieńca jej chodziło: miły, beztroski lekkoduch. Toni posłała mu zachęcający uśmiech. Chłopak oblał się rumieńcem i, spłoszony, zaczął udawać, że szuka kogoś na widowni. Zawiedziona, spuściła wzrok. Pamiętaj, jaka jest stawka, upomniała się w myślach. Pamiętaj, jaką masz misję. Ranczo zbyt wiele dla niej znaczyło. Nie mogła się teraz wycofać. Wstała, prostując się z determinacją, gotowa zagadnąć chłopaka, lecz czarnowłosa demon zastąpił jej drogę. Spojrzała mu w oczy, siłąc się na swobodny uśmiech, i próbowała go ominąć. Wiedziała, że potrzebuje genów poczciwego kowboja, a nie szatańskiego przystojniaka, który szarżuje jak byk, biorąc życie na rogi.

Brand Lander błysnął w uśmiechu białymi zębami i musnął rondo kapelusza, ale dziewczyna zdawała się pochłonięta flirtem z Bobbym Lee. Do diabła, przecież ten smarkacz ma zaledwie dziewiętnaście lat i jeszcze nigdy nie był z kobietą, pomyślał z irytacją. Co więcej, zamierzał wytrwać w tym stanie aż do ślubu z ukochaną z lat szkolnych, który miał się odbyć po Bożym Narodzeniu. Brand nie mógł pozwolić, by młodzik uległ pokusie.

- Pospiesz się, bo się spóźnisz - powiedział. - Potem sobie pogadamy. Moja kolej nadejdzie jeszcze nie tak prędko.

Odwrócił się do pięknej nieznajomej, która najwyraźniej planowała zaciągnąć niewinną ofiarę prosto do bram piekieł. Mimo niewysokiego wzrostu miała ponętne, kobiece kształty. Była typem kruszynki, któ-

ra niektórzy mężczyźni pragnęliby natychmiast otoczyć troską - ale nie on.

Bujne, miękkie loki opadały jej na ramiona i piersi, okalając anielską twarzyczkę o skórze delikatnej niczym białe kwiaty magnolii. Złościło go, że zamiast patrzeć na niego, bezustannie wodzi wzrokiem za Bobbym Lee. Nie potrafił też sobie wytłumaczyć, skąd wzięła się dziwna zawziętość, która malowała się na jej słodkiej buzi. Ta mała sprawiała wrażenie kobiety wyjątkowo zdeterminowanej. Zaintrygowała go do tego stopnia, że, musnąwszy ponownie palcami rondo kapelusza, zagadnął:

- Cześć, maleńka. Dokąd zmierzasz? - Widząc pełne złości spojrzenie dziewczyny, domyślił się, że nie znosiła, gdy czyniono aluzje do jej wzrostu.

- Przepraszam. - Spróbowała obejść aroganta, lecz ten stanął jej na drodze, na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi wsuniętymi za pas. Kątem oka zauważyła tytuł mistrza świata, wygrawerowany na klamrze. Uczyniła krok w lewo, lecz kowboj przesunął się w prawo i znów zagroził jej drogę. Spróbowała iść w drugą stronę. Natręt powtórzył manewr. - Chciałabym przejść - burknęła, a jej twarz oblał rumieniec. - Z drogi, kowboju.

- Nie mogę cię przepuścić, złotko. Tam mają wstęp tylko zawodnicy.

Niech to diabli, była naprawdę ładna. Nie potrafił oderwać wzroku od kształtnej postaci. Dawniej bez wątpienia dałby się jej zauroczyć, ale już nie teraz. Taka kobieta mogła oznaczać jedynie kłopoty.

- Słuchaj, laleczko, zaraz zaczną się zawody. Lepiej wróć na swoje miejsce, bo zdekoncentrujesz zawodników i komuś stanie się krzywda.

Toni hardo uniosła głowę, czerwona ze złości.

- A może tak zejdziesz mi z drogi, zanim tobie stanie się krzywda?

Była wściekła, że traci szansę na zawarcie znajomości z potencjalnym ojcem jej dziecka. A czas ucieka.

- Hej, Brand, po zawodach idziemy w miasto. Zabieramy Bobby'ego Lee. Wybierzesz się z nami?

Nadstawiła ucha. Gdy padła nazwa hotelu, w którym się zatrzymała, serce zabiło mocniej. Może jeszcze nie wszystko stracone!

- Będę tam - odparł kowboj, patrząc jej prosto w oczy.

Toni poczuła, że uginają się pod nią nogi. Odwróciła głowę, by czym prędzej uwolnić się od palącego spojrzenia mężczyzny.

Tymczasem na arenę wypuszczono olbrzymiego, rozjuszonego byka, dosiadanego przez Bobby'ego Lee. Brand momentalnie skupił uwagę na ringu, nie spuszczać wzroku ze zwierzęcia i jeźdźca. Toni zaczęła się powoli wycofywać. Może jednak Opatrzność nad nią czuwa? Wszak właśnie dzisiaj przypada najlepszy moment cyklu płodności. Dziś może począć dziecko, którego dziadek domagał się w testamencie. Mężczyzna, który ma jej w tym pomóc, przyjdzie do hotelowego baru - dwanaście pięter poniżej pokoju, do którego postara się go zaprosić.

Uda się, musi się udać. Jutro wyjedzie z Las Vegas, nosząc w sobie to, co zapewni jej przyszłość i połączy z przeszłością. To jedyny sposób, aby ocalić miejsce, które jest dla niej święte.

Toni niespiesznie sączyła drinka, nie spuszczać wzroku z wejścia do baru. Rozważała już możliwość odwrotu, gdy nagle drzwi otworzyły się i na salę weszła grupa mężczyzn pod przewodnictwem szatańskiego przystojniaka. Wstrzymała oddech i odchyliła się na krześle, aby zobaczyć, czy Bobby Lee jest wśród nich. Był. Tuż za mężczyznami do lokalu wpadła grupka rozbawionych kobiet.

Ciemnowłosy kowboj, na którego wołali Brand, znalazł się w centrum uwagi. Ludzie poklepywali go po plecach, on zaś odnosił się do wielbicieli z istic ojcowskim pobłażaniem. Gdy ich spojrzenia spotkały się, Toni, speszona, spuściła wzrok. Dostrzegła w jego oczach ogień, niczym u gotowego do walki byka, i poczuła przemożną chęć zakrycia wyeksponowanego dekoltu. Kupiona w hotelowym butikiu czarna, seksowna sukienka stanowiła rekwizyt niezbędny do skutecznego odegrania zaplanowanej roli. A rola uwodzicielki była jej dotąd całkowicie obca.

Serce Toni waliło jak młotem. Nadeszła godzina zero. Musiała zaczynać, i to już. Jeszcze jeden łyk margarity, głęboki wdech - i zdołała posłać Bobby'emu Lee uwodzicielskie spojrzenie, okraszone najbardziej tajemniczym uśmiechem, na jaki było ją stać. Brand nachylił się ku niemu i szepnął coś, co

sprawiło, że twarz młodzika oblała się rumieńcem. Niespodziewanie cała grupa ruszyła w jej kierunku.

- Cześć, kochanie - zagał przystojniak, mrugając porozumiewawczo. - Miło, że zajęłaś nam stolik. - Nie czekając na pozwolenie, usiadł tuż obok niej, dając pozostałym znak, by się rozgościli. Rozparł się wygodnie, opierając ramię za jej plecami. Inny kowboj przysiadł się z drugiej strony, niemal wciskając Toni w objęcia Branda.

- Przesuń się trochę - syknęła. Zamiast odpowiedzi przystojniak pokazał jej w uśmiechu białe, równe zęby. Jego wzrok, z siłą równą fizycznej pieściocie, powędrował od jej oczu, poprzez usta, ku dekolтови. Skonsternowana, rozejrzała się wokół. Bobby Lee siedział na drugim końcu stołu - zbyt daleko, by nawiązać rozmowę. Niech to diabli! Pierwsza próba uwodzenia została zakończona totalnym fiaskiem.

Kowoboj, siedzący po lewej, nachylił się w stronę Branda.

- A ty co, nie świętujesz? Żadnego szampana, nie?
 - Które to zwycięstwo, trzecie? - zagadnęła słodkim głosem panna, siedząca po drugiej stronie stołu.
 - Czwarte - odparł Brand swobodnie, kładąc wielką dłoń, pokrytą siecią drobnych blizn, na dłoni Toni.

Zadrzała. Misja, nie zapominaj o misji, powtarzała w duchu. Na całej długości ciała, od ramion do kolan, czuła ciepłą bliskość mężczyzny. Na próżno podejmowała kolejne próby uwolnienia się z uścisku. Co gorsza, pachnący cynamonem, czarnowłosy kowboj

objął jej barki ramieniem, przyciągając ją bliżej ku sobie.

- Rozluźnij się, maleńka, bo jesteś dziś strasznie spięta - poradził troskliwie, niemal od niechcenia mäsując jej smukły kark.

Nie, ten facet zdecydowanie nie jest tym, kogo ona potrzebuje. Niewątpliwie potrafiłby sprawić, by ten wieczór był niezapomniany, ale nie mogła pozwolić, aby hormony decydowały za nią. Kochała dziadka i bardzo go jej brakowało, lecz właśnie przez niego zmuszona była podjąć tak drastyczny krok. Zgodnie z jego ostatnią wolą mogła stracić ziemię, która należała do rodziny od pokoleń - ukochane dziedzictwo - tylko dlatego, że była kobietą. Dziadek zażądał w testamencie męskiego spadkobiercy - męża lub syna. Toni nie miała ani jednego, ani drugiego. Uwielbiała dzieci, ale mąż... nie, takiej myśli nie dopuszczała. Co by było, gdyby z czasem okazał się podobny do jej ojca, który nie potrafił do własnych racji przekonywać inaczej, jak tylko pięścią? A jeśli, w razie rozstania, mążzonek zechciałby odebrać jej ranczo? Prawnik, z którym rozmawiała w sprawie wykonania testamentu, zażartował, że sprawa byłaby znacznie prostsza, gdyby Toni zaszła w ciążę. Desperacko podchwyciła tę myśl. Gotowa była poświęcić własną godność, byle tylko uratować jedyne miejsce na ziemi, w którym czuła się naprawdę bezpieczna.

- Nie zostałeś do końca zawodów - usłyszała tuż koło ucha ciepły, lekko zachrypnięty głos Branda.

Odwróciła głowę i znalazła się w odległości zale-

dwie kilku centymetrów od ciemnych oczu o intensywnym spojrzeniu. Gdy pogładził pieszczotliwie jej nagie plecy, poczuła, jak płomień namiętności przejmuje ją do głębi.

- Jak ci na imię? - zapytała siedząca nieopodal silikonowa lala.

- Toni.

- Brand ani słowem o tobie nie wspominał. Nie puścił pary z gęby, słowo daje.

- To dlatego, że...

Brand położył jej palec na ustach.

- Chcieliśmy zaraz po rodeo zamknąć się w pokoju hotelowym i nie wychodzić przez tydzień - powiedział ze znaczącą miną, która wprawiła towarzystwo w rozbawienie.

Toni przygryzła wargi. Ten szatan wszystko popsuł!

- Coś ty powiedziała?

- Przepraszam, złotko. - Spojrzał jej w oczy z uśmiechem niewiniątka.

- Ty... ja...

- Masz rację. Powinienem był dochować tajemnicy. - Wzruszył szerokimi ramionami i pogładził ją po policzku. Nie czuła nic, oprócz buzujących hormonów. - Jestem tylko głupim kowbojem, kochanie.

Toni przycisnęła zimną szklankę do rozpalonego policzka. Jeśli zamierzał uniemożliwić jej kontakt z innymi kowbojami, nie mógł znaleźć lepszego sposobu, jak tylko przedstawiając ją jako swoją dziewczynę. Dzięki takiemu zabiegowi miał pewność, że

nie zbliży się do niej żaden z chłopaków w barze. Musi koniecznie zamienić z Brandem kilka słów na osobności.

- Rusz się!
- Już byś chciała wypróbować nowy materac?
- Wypuść mnie! - Miała ochotę go zabić.
- W porządku, kochanie, ale nie ma pośpiechu.

Przed nami cała noc. - I, oplatając sobie wokół palca lok jedwabście miękkich włosów Toni, dodał zmysłowym szeptem: - Obiecuję, że warto poczekać.

Najchętniej rozszarpałaby go na strzępy.

- Powiedziałam, przepuść mnie! - warknęła wściekle, napierając na niego z całej siły.

- No cóż, chłopaki, dzięki za spotkanko, ja płacę. - Brand wstał, wyjął portfel i rzucił na stół kilka studolarowych banknotów. Nasadził kapelusz na głowę, ujął Toni za rękę i wyprowadził ją z baru przy akompaniamencie rubasznych komentarzy.

Przeklinając pod nosem, sunęła krok za nim. Nogi prowadziły tam, gdzie iść nie powinna; czuła się coraz bardziej upojona świadomością, że jest bliska tego, czego nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu.

- Czyś ty oszalał?

- Chyba nie ja, kochanie. Pożerałaś wzrokiem Bobby'ego Lee jak głodny pies kość. Ale muszę cię ostrzec - on nie jest w menu. Niedawno się zaręczył i nie zamierza tego zmieniać.

W drzwiach pojawiła się kolejna grupa kowbojów. Jeden z nich zawołał go po imieniu. Brand zaklął i porwał Toni na ręce.

Dziewczynie zawirowało w głowie. Bojąc się, że Brand ją upuści, mocno przywarła do jego szerokiej piersi. Zatrzymał się dopiero przy windach. Gdy drzwi kabiny zamknęły się za nimi, opuścił swój ciężar na ziemię. Toni zsuwała się po jego ciele, aż stopami dotknęła podłogi. Kiedy winda ruszała w górę, musiała złapać za gruby skórzany pas Branda, aby odzyskać równowagę. Zamierzała właśnie powiedzieć szczerze, co o tym wszystkim myśli, gdy wsiadło kilka nowych osób. Brand uśmiechnął się szeroko. W porządku, zabierze go do swojego pokoju, obszturkuje za zbyt obcesowe zachowanie, po czym wróci na dół i zacznie akcję od nowa. Jeśli nie może mieć Bobby'ego Lee, wybierze kogoś innego z kowbojskiej bandy, tłoczącej się na dole.

Drzwi windy otworzyły się i Toni wysiadła. Brand złapał ją za łokieć i niczym cień podążał pół kroku za nią. Gdy doszli pod drzwi, była tak roztrzęsiona, że nie mogła wsunąć karty w szczelinę i musiał ją w tym wyręczyć. Wpadła do środka, modląc się, żeby nie wszedł za nią.

Na próżno.

ROZDZIAŁ DRUGI

Brand wszedł do pokoju pół kroku za anielską diabolicą. Nie był w stanie oderwać wzroku od słodkiej kragłości jej bioder, nie podziwiać nienagannej linii długich, smukłych nóg. Musiał przyznać, iż Toni, mimo niewysokiego wzrostu, miała wszystko na swoim miejscu i w idealnych proporcjach.

Chciała seksu, co do tego nie było cienia wątpliwości. Kobieta nie wkłada na siebie minisukienki, obcisłej jak rękawiczka, jeśli nie pragnie, by facet ją z niej zdarł. Ale spokojnie, nie przyszedł tu przecież na szybki numerek.

Najwyraźniej miała słabość do kowbojów. Przez ostatnie dziesięć lat spotkał - i zdołał się oprzeć - wielu kobietom podobnym do niej. Nie były w jego guście, a przynajmniej tak sądził jeszcze parę godzin wcześniej. Ale ta mała wodziła go na pokuszenie...

Tak, miał chęć posmakować jej ust. Czy były tak miękkie, na jakie wyglądały, zanim powlekła je krwistą szminką? Czy gładka cera, teraz ukryta pod grubą warstwą pudru, była równie słodka, jak słodki był jej magnoliowy kolor?

Pragnął tej seksownej kobietki, nich to szlag! Po-

żądał jej, jak jeszcze nigdy dotąd nie pożądał żadnej kobiety.

Toni chodziła po pokoju tam i z powrotem, wybuchowa jak dynamit. Gotów był przysiąc, że pod warstwą makijażu miała zaróżowione policzki. Przy każdym kroku piersi podnosiły się i opadały, obiecująco wychylając się znad krawędzi dekoltu.

Cisnęła torebkę na sofę i podparwszy się pod boki, wyrzuciła z siebie:

- Jesteś totalnym durniem!
- Niby kto? Ja? - zapytał nieco zdziwiony, na wszelki wypadek szczerząc zęby w uśmiechu. Nie brzmiało to jak zaproszenie do łóżka.
- Ty. Wszystko zepsułeś swoimi wygłupami.

Sprawiła wrażenie, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. Serce Branda ścisnęło się z żalu. Mimo twardej, kowbojskiej natury nie potrafił patrzeć, jak kobieta roni łzy.

- Posłuchaj, kochanie... - zaczął bezradnie.
- Nie mów tak do mnie! Nie jesteś tym, kogo szukam. - Nerwowo krążyła między oknem a kanapą. - Idź sobie - wycedziła, opadając na krawędź łóżka i kryjąc twarz w dłoniach. - Mam coś do zrobienia dziś wieczorem, a ty wszystko psujesz.
- Czy jeśli sobie pójdę, wrócisz na dół? - zapytał, nie odrywając wzroku od skulonej postaci.
- Muszę - odparła, prostując się i z determinacją patrząc mu prosto w oczy.

Miała niewinne, czyste spojrzenie, dziwnie kontrastujące z wyzywającą powierzchownością. Brand nie

potrafił zrozumieć, skąd wziął się w nim taki upór. Na dole czekały na niego dziewczyny gotowe na każde skinienie.

Usiadł obok Toni na krawędzi łóżka i zaczął nawiązać na palec jedwabisty lok, aż niepostrzeżenie jej usta znalazły się tuż koło jego warg.

- A jeśli się stąd nie ruszę?

- Powinieneś - wyszeptwała, lecz błękitne oczy patrzyły wyczekująco.

Brand przesunął dłoń po aksamitnej skórze ramion, aż do drobnej, delikatnej dłoni. Chwycił ją w swoje duże ręce i przycisnął do coraz mocniej bijącego serca.

- Wiem, ale wcale tego nie chcę.

Wargi miała miękkie niczym pączek róży i słodkie jak kostka cukru. Brand czuł zawrót głowy, podobny do tego, jakiego doświadczył, gdy po niebezpiecznym upadku lekarze podawali mu tlen. Wystarczyło jedno, dwa muśnięcia warg Toni, by poczuł, że jest uzależniony od ich smaku. To czyste szaleństwo, ale czuł, że żadna siła nie zdoła wyrzucić go z tego pokoju.

- Kochanie, na dole nie znajdziesz niczego, czego ja nie mógłbym ci dać - powiedział niskim głosem.

Odsunęła się, aby przez chwilę popatrzeć na niego oczami, które pod zasłoną łez kryły tajemnicę. Także Brand odsunął się, zaniepokojony.

- Jesteś mężatka? - Nigdy w życiu nie poszedłby do łóżka z kobietą innego mężczyzny.

- Nie. - Szeroko otwarte oczy wyrażały bezkresne zdziwienie.

Ja też nie jestem żonaty. I nie zamierzam tego zmieniać. Nigdy.

- Ani ja - oznajmiła, z wysiłkiem przełykając ślinę.

Brand rozpiął jedną z klamerek, którymi upięte były jej loki, a nie napotkawszy oporu, przesunął dłonią po jedwabistych włosach, rozdzielając palcami lśniące pasma i zdejmując pozostałe spinki. Gdy burza włosów opadła swobodnie na plecy. Toni odchyliła głowę, odsłaniając smukłą szyję. Brand nachylił się i musnął wargami pulsującą, gorącą skórę.

- Wiesz, czego chcę, prawda, Toni?

Odsunął się odrobinę, by spojrzeć w jej zarumienioną twarz. Powoli uniosła przymknięte powieki, ukazując zakłete w spojrzeniu pokłady namiętności. Skinęła głową i zwilżyła usta czubkiem języka.

- Chcę się z tobą kochać. Chcę poznać smak każdego centymetra twojego ciała, zaczynając tutaj. - Brand delikatnie uszczypnął zębami płatek jej ucha.

Z ust Toni dobyło się ciche westchnienie.

- Ty też tego chcesz?

- Tak - szepnęła.

Obudziła się ociążała i przepełniona słodyczą. Miała ochotę znów zasnąć w przytulnym ciepłe. Uświadomiła sobie, że potężne umięśnione ramię przykuwają do materaca. Jej serce zabiło jak oszalałe. Mój Boże, a więc zrobiła to! Upewniła się, czy nie obudziła... Branda. Miał na imię Brand. Nawet nie znała jego nazwiska. Owładnął ją pałacy wstyd.

Uwolniony się z objąć mężczyzny, zsunęła się na podłogę i nie odrywając oczu od łóżka, zabrała wiszące na oparciu krzesła dzinsy i koszulkę. Brand przewrócił się na plecy, szeroko rozrzucając ramiona. Nie otworzył oczu. Potargane włosy, śniada cera, mocne uda i umięśnione łydki rysowały się pośród fałd zmiętoszonej pościeli. Wbrew woli przesuwając wzrokiem od szerokich barków poprzez płaski brzuch, aż do osłoniętej prześcieradłem męskości. Nie potrzebowała bodźców wzrokowych, by przypomnieć sobie jedwabistą twardość, która w ciągu nocy tyle razy doprowadzała ją do rozkoszy.

Misja zakończona, przemknęła jej przez głowę. Aby zatrzymać ranczo, dopuściła się czynu, który sama jeszcze niedawno uznawała za „nie do pomyślenia”. A jednak napawała się każdą chwilą grzesznej nocy. Jaka kobieta stała się za sprawą tego występku?

Przemknawszy na palcach do łazienki, pospiesznie wciągała ubranie, gdy jej wzrok padł na odbicie w lustrze. Jeśli nic liczyć czerwonego śladu na karku i lekko błędnego wzroku, wyglądała całkiem zwyczajnie, zupełnie nie jak kobieta, która zawróciła mężczyźnie w głowie do tego stopnia, że zapomniał użyć prezerwatywy. Nie chcąc zbudzić kowboja, zrezygnowała z porannej toalety i wrzuciła szczoteczkę i pastę do torby. Musi wyjść, póki Brand jest pogrążony we śnie. Nie była w stanie spojrzeć w twarz samej sobie, nie wspominając o nim.

Targana mieszanymi uczuciami, podniosła walizkę

i ze łzami w oczach skierowała się ku wyjściu. Za późno na wyrzuty sumienia. Stało się. Otworzyła drzwi - i zamarła. Z okładki leżącej pod progiem lokalnej gazety patrzyła na nią twarz Branda. Schyliła się, podniosła magazyn i drżącą ręką przewróciła strony, zatrzymując się na artykule.

„Brandon Lander zdobył wczoraj czwarty tytuł mistrza świata w ujeżdżaniu byków. Dwudziestoosmioletni kowboj z hrabstwa McCullen w Teksasie znajduje się w szczytowej formie. Pokonał bravurowo wszystkie dziesięć byków, a jego popisowa jazda na Detonatorze, bestii niepokonanej w tym sezonie, przyniosła mu nagrodę pięciu tysięcy dolarów.

Przyjaciele Landnera sugerują, że nasz mistrz rozważa odejście z zawodu. Sam bohater unikał wczoraj spotkania z prasą, ale trudno jest uwierzyć, że tak łatwo mógłby porzucić pasję swojego życia teraz, kiedy jest u szczytu popularności.

- Brand jest dla nas mistrzem i przyjacielem - powiedział nam Bobby Lee Garrison, syn senatora z Oklahomy, najbardziej obiecujący z młodych zawodników. - Nikt nie wie o bykach tyle co on."

Toni przycisnęła szeleszczący papier do piersi. Popełniła niewybaczalny błąd, spędzając noc z kowbojską sławą. Co prawda Bobby, senatorski synek, byłby jeszcze gorszą opcją.

Szybko ruszyła do windy, przeklinając własną głupotę. Kiedy tylko zobaczyła Branda, czuła, że mogą

być kłopoty. Ale trudno, co się stało, to się nie od-
stanie.

Brand obudził się z uśmiechem na ustach. Wtulił
twarz w poduszkę, wdychając zapach Toni. Ten słod-
ki anioł go wykończył! Nie mogli się sobą nasycić
przez całą noc. Duma rozpieęła go na myśl, że wy-
brała go na swojego pierwszego kochanka. Starał się
ze wszystkich sił, aby nie żałowała tego kroku. Mimo
łęku przed bólem chciała jeszcze i jeszcze... Kochali
się więcej razy, niż... Brand podskoczył jak oparzony,
gwałtownie wracając do rzeczywistości. Kochali się
więcej razy, niż miał prezerwatyw!

- Do diabła!

Miejsce obok było puste. Sukienka Toni leżała na
podłodze, dokładnie tam, gdzie ją cisnął. Włożył szla-
frok i pobiegł do łazienki. Była pusta, a z półki znik-
nęła kosmetyczka. Klnąc, wrócił do pokoju. Walizki
też nie było. Gdy chwycił słuchawkę i wykreczał nu-
mer recepcji, serce waliło mu jak młotem.

- Panna Swenson opuściła hotel - poinformowa-
no go.

Brand zacisnął pięści.

- Panna Swenson zapomniała zostawić mi adres,
pod którym mamy się spotkać. Mogłaby pani mi go
podać?

- Przykro mi, ale nie jestem upoważniona do po-
dawania tego typu informacji.

- Proszę pani, dzwonię z jej pokoju. Ona z pew-
nością zgodziłaby się, aby pani podała mi jej adres.

- Przykro mi, nie mogę.

Trzasnąwszy słuchawką, rzucił się szukać swoich
ubrań. Niech to szlag! Tyle razy ostrzegał młodszych
kolegów, by uważali, a tymczasem sam zapomniał
o zabezpieczeniu.

Od samego początku wiedział, że ta mała do czegoś
zmierza. W jej oczach dostrzegł niebывałą determi-
nację. Ale czy obudziło to jego czujność? Nie, do
diabła. Minęło cholernie dużo czasu, odkąd po raz
ostatni spał z kobietą i pewnie dlatego pozwolił hor-
monom zapanować nad rozumem.

Czego właściwie chciała? Pieniędzy? Wyciągnął
portfel i przeliczył plik banknotów; niczego nie bra-
kowało. Zresztą to i tak nie miało sensu. Jeśli chciała
pieniędzy, dlaczego zasadzała się na Bobby'ego Lee,
zamiast na niego? Był wart o wiele więcej. Wciągnął
buty. Może jednak nie chodziło o szmal. Wielu spo-

śród krewnych Bobby'ego sprawowało funkcje poli-
tyczne - czyżby zatem pragnęła wywołać skandal?
Skonsternowany pokręcił głową. Ale przecież w koń-
cu poszła do łóżka z nim, nie z Bobbym.

Co to wszystko miało, u diabła, znaczyć?

ROZDZIAŁ TRZECI

Toni wracała z Las Vegas do domu. Po paru godzinach niespokojnego snu zapakowała swoje rzeczy do wynajętego auta kempingowego i ruszyła w drogę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, osiadzie w Rocking A na dobre. Koniec z ciągłym pakowaniem się i ukrywaniem.

Starła się nie dopuszczać do siebie myśli, że jej plan mógł się nie powieść. Po nocnym maratonie z Brandem na pewno zaszła w ciążę. I miała nadzieję, że to będzie syn. Naturalnie, córkę pokocha tak samo, ale dziewczynka nie rozwiąże problemu. Poczowała ściskanie w dołku. Czekają ją teraz kilka tygodni dręczącej niepewności, żeby stwierdzić, czy w ogóle jest w ciąży, a potem kilka kolejnych, zanim dowie się, czy dziecko, które nosi, jest ciemnowłosym chłopcem o czekoladowych oczach.

Skręciła na podjazd i zatrzymała się za domem dziadka. Od frontu parkowali tylko goście. Westchnęła z ulgą, wyłączając silnik. Nareszcie w domu!

Matthews, nadzorca dziadka, wyszedł jej naprzeciw chwiejnym krokiem. Czyżby pił od rana? Z szopy wyłoniło się jeszcze dwóch robotników, którzy również nie wyglądali na trzeźwych.

- Pomóżcie mi rozładować wóz.

Matthews wypluł przeżuty kawałek tytoniu.

- Mamy robotę. - Odwrócił się na pięcie i odszedł, a za nim jego towarzysze.

Toni spoglądała na nich, oniemiała ze zdumienia. Niezbyt udany początek, ale najważniejsze, że była w domu. Podniosła jedno z pudeł, wyjęła je z przyczepy i zaciągnęła przed werandę na tyłach. Otworzyła drzwi i podparła je pudłem. Owionął ją zaduch.

Beau, niemłody już basset, którego dostała od dziadka przed wyjazdem do college'u, leniwie podniósł się ze swojego legowiska i przycłapał na werandę, żeby się przywitać. Toni przyklękła, aby starym zwyczajem pieszczotliwie wytargać go za uszy. Poczowała się urażona powściągliwym zachowaniem zwierzaka. Zwykle witał ją ujadaniem, od którego puchły uszy.

- Co z tobą, Beau? Nie cieszysz się, że przyjechałam? - Ujęła w dłonie psi pysk i uniosła ku twarzy. Spostrzegła, że brązowe oczy zwierzęcia są przygaszone, a nos suchy.

- Beau?

Pies próbował zaszczekać, ale zdołał wydobyć z siebie jedynie chrypliwy odgłos. Toni zajrzała do jego misek - nie było w nich ani jedzenia, ani wody. To, co zobaczyła na werandzie, świadczyło, że pies nie był dostatecznie często wyprowadzany na spacer. Gniewnie zacisnęła szczęki.

- Pewnie chcesz pić? - Odpowiedziało jej poru-

szenie ogona. - I jeść? - Znów machnięcie. - No to zobaczmy, co tu mamy.

Dopiero kiedy weszła do kuchni, poczuła się naprawdę w domu. Napełniwszy psie miski, przyglądała się, jak Beau chłopcze łapczywie i czuła narastającą złość. Prawnik zapewniał ją, że pracownicy zadbają o wszystko.

Kiedy uporała się ze sprzątaniami werandy i rozpakowaniem bagaży, poczuła się zbyt zmęczona, aby przeglądać księgi gospodarcze. Męczący dzień i dwie prawie nieprzespane noce dały o sobie znać. Wyczerpana, wślizgnęła się do ulubionego łóżka, w którym spała od dzieciństwa. Tej nocy śniła jednak całkiem niedzieliący sen o ciemnowłosym kowboju.

Toni wyskoczyła z łóżka, z góry ciesząc się na pierwszy dzień w Rocking A. Pospieszenie przełknęła śniadanie i wybiegła z domu tylnym wyjściem. Wesołszy i zdrowiej wyglądający Beau powitał ją szczeniem i machaniem ogona.

- Lepiej wyglądasz, stary. Masz ochotę na spacer?

Pies szczeknął i podążył za swoją panią na obchód posiadłości. W porannym słońcu wszystko wydawało się wyblakłe i zaniedbane. Wczoraj była zbyt podniecona przyjazdem, aby zwrócić uwagę na rozpaczliwy stan budynków.

W parę godzin później siedziała na skórzanym fotelu w gabinecie dziadka i przeglądała księgi. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Ranczo nie było co prawda obciążone długiem hipotecznym, ale posiadało żałoś-

nie małe zasoby finansowe. Od miesięcy żadnych dochodów ze sprzedaży bydła. Odłożyła kalkulator i zaczęła jeszcze raz przeglądać zapiski. Próbowwała ponownie zbilansować miesięczne wydatki, licząc, że znajdzie błąd w poprzednich obliczeniach.

Brand wdrapał się na swoją półciężarówkę. Zdobyć dwóch nazwisk i adresów zajęło mu cały długi tydzień. Zapełniał czas, udzielając wywiadów i kręcąc reklamówki dla swoich sponsorów, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Na skrawku papieru zanotował sobie: „Antonia Allison Swenson ma mieszkanie w pobliżu kampusu A & M, ale w hotelu podała jako swój adres ranczo Rocking A w Teksasie, należące do niejakego Willa Andersona, niedawno zmarłego”. Włączył silnik i zaczął bębnić palcami po kierownicy. Gdzie jej szukać? W mieszkaniu czy na ranczu? Ruszył na południe.

Czy tamtej nocy była tak samo rozpalona jak on i zwyczajnie zapomniwała się zabezpieczyć? Czy może chciała zająć w ciążę? Ta myśl zbulwersowała go. Nie była pierwszą kobietą, która miała się takich sposobów, ale coś tu się nie zgadzało. Skoro tak bardzo chciała mieć dziecko, czemu upierała się przy smar-katym Bobbym w roli rozplodowego samca?

Chciała Bobby'ego, a w końcu wylądowała w łóżku z nim. Jego męskie ego zaprotestowało gwałtownie. Nie lubił kończyć spraw po kimś, a jednak się w to wkopał. Dobra, durniu, dłaczego w takim razie

ścigasz babę, która pokazowo wystrychnęła cię na dudka?

Bo ona może być z tobą w ciąży, nieodpowiedzialny kretynie!

Nigdy nie był specjalnie odpowiedzialny i nie zamierzał się ustatkować. Przynajmniej nie teraz, kiedy mógł wreszcie porzucić rodeo w blasku sławy i zająć się czymś przyjemniejszym. Tak naprawdę nigdy nie lubił tego objazdowego cyrku, wiecznego siedzenia na walizkach, chronicznego braku domu. Crooked Creek, rodzinne ranczo, nie liczyło się. On sam nie liczył się w tym gospodarstwie. Wszystkie decyzje podejmował ojciec i jego najstarszy brat, Caleb Brand był co najwyżej darmowym pracownikiem. Taki układ mu nie odpowiadał. Potrzebował czegoś więcej.

Tylko wcale by nie chciał, żeby gdzieś po świecie chodził mały Lander, którego narodzin nie zaplanował. Podobne historie zdarzały się w ich kręgu. Kowboj występował na rodeo, potem świętował w towarzystwie jakiejś dziewczyny, a następnego dnia jechał do innego miasta. Prędzej czy później dostawał list polecony, w którym dziewczyna domagała się świadczeń na dziecko, względnie obrączki. Coś takiego przydarzyło się jego starszemu bratu, a także niektórym znajomym, ale on do tego nie dopuści... Bynajmniej nie z powodu jednej upojonej nocy.

Cóż to była za noc! Na samo wspomnienie przeszył go dreszcz. Nieważne, czy Toni jest szalona, czy nie. Jeśli efektem chwilowego zapomnienia ma być

ciąża nie może pozwolić, żeby jego dziecko chowało się bez ojca.

Brand ostro dodał gazu. Ranczo Rocking A miał po drodze do domu. Wstąpi tam, aby zobaczyć, czy przypadkiem Toni nie mieszka u dziadka. Jeśli okaże się, że nie, pojedzie do jej mieszkania.

Toni wracała z cmentarzyka, gdzie położyła kwiaty na grobach dziadków. Pokolenia Andersonów żyły na lejącej ziemi, tutaj też pozostawały na wieczny spoczynek. Jeśli szczęście jej dopisze, dziadek Will będzie ostatnim z rodu.

Zatrzymała się gwałtownie na widok trzech mężczyzn wążających się po podwórzu. Wyraźnie nie mieli zamiaru wypełnić jej poleceń.

- Macie jakiś problem z naprawą ogrodzenia wschodniego pastwiska?

Matthews wytarł nos i zaczął dłużyć w zębach wykałaczką. Toni znów poczuła od niego alkohol. Albo nie wytrzeźwiał jeszcze od wczoraj, albo chleje od switu, pomyślała.

- Nie, ale dzisiaj chyba zrobimy płot od zachodu. Tak czy siak, przepędzimy tam bydło za dzień lub dwa.

Toni wepchnęła pięści do kieszeni i zacisnęła zęby. Nieposłuszeństwo tego człowieka sprawiało, że wielokrotnie w ciągu ostatniego tygodnia była bliska zwolnienia go. Wiedziała jednak, że razem z nim odezliby pozostali, a sama nie da sobie rady z prowadzeniem rancza. Pohamowała się więc i spokojnie powtórzyła swoje poranne polecenia.

- Jak już tłumaczyłam dziś rano, zachodnie pastwisko trzeba na nowo obsiać. Przepędzimy bydło na wschodnie w przyszłym tygodniu, po szczepieniach.

Wszyscy trzej patrzyli na nią, jakby nie rozumieli, co do nich mówi, aż wreszcie odwrócili się do swoich koni. Toni tupnęła nogą z bezsilnej wściekłości.

- Ogrodzenie ma być dzisiaj naprawione, Matthews!

Mężczyźni bez odpowiedzi skierowali konie na zachód. Nie zdążyli jednak ujechać daleko, gdy zatrzymał ich szorstki głos:

- Pani powiedziała „wschodnie pastwisko”. Może potrzebny wam kompas?

Toni odwróciła się w kierunku, skąd dochodził głos. Serce jej zamarło, a potem zaczęło walić jak oszalałe. Policzki paliły ją ze wstydu. Przymknęła oczy, łudząc się przez chwilę, że to jeden ze snów. Jakie nawiedzały ją od tygodnia. Kiedy otworzyła je na nowo, zobaczyła przed sobą swojego kowboja.

Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale w głowie miała pustkę. Jednak znalazł ją. Takiego obrotu sprawy nie przewidziała.

- Cześć, kochanie. Tęskniłaś za mną? - powiedział, muskając końcami palców krawędź kapelusza. Miał na sobie czarne dżinsy i czarną koszulę, na której tle lśniła slotka kłamra mistrzowskiego pasa.

Ledwie docierały do niej przyciszone głosy robotników pokazujących sobie jego kłamrę zwycięzcy; rejestrowała jedynie złociste błyski w jego oczach

i sarkazm w głosie. Twarde, zaciśnięte szczęki musiały nie być golone od paru dni. Wyraźnie nie miał dobrego humoru.

Chyba domyślał się podłości jej postępków. I doścignął ją, żeby się zemścić. Ta świadomość zmroziła ją. Czy będzie agresywny? Jasne, że na pomoc tamtych pajaców nie ma co liczyć. Na myśl o jego muskularnych ramionach ścisnęło ją w żołądku.

Z werandy dobiegło głucho warczenie. Brand obejrzał się i stanął nieruchomo. Podczas gdy Beau obwąchiwał przybysza, Toni zastanawiała się, co robić.

- Witam zwycięzcę finałów. Co cię sprowadza w moje skromne progi? - Toni siliła się na naturalność.

Brand podsunął psu dłoń do powąchania, a potem znów zwrócił się do Matthews'a i reszty.

- Mam tu pewne sprawy do omówienia z Toni - powiedział. - Proponuję, żebyście poszli naprawić ogrodzenie wschodniego pastwiska, tak jak wam poleciła.

Matthews zmienił się na twarzy, ale zagryzł wargi i zachował swoje uwagi dla siebie. Zwrócił konia na wschód, a pozostali podążyli za nim.

Toni nie wiedziała, czy powinna być mu wdzięczna za pomoc, czy przerażona, że ją wytropił. Błyskawice, które miotaly jego oczy, zapowiadały, że czekają ciężka przeprawa. Wytarła spocone dłonie o dżinsy i przełykając gulę, która urosła jej w gardle, zapytała:

- Co cię tu sprowadza?

Przyglądał się jej tak, jakby pragnął za wszelką cenę odgadnąć jej sekret.

- Mamy chyba sprawę do omówienia.

Beau stał między nimi, machając zachęcająco ogonem. Okazał się zdrajcą i nie mogła mieć o to do niego żalu. Sama postąpiła nikczemnie. Zastanawiała się, czy mężczyzna, którego wykorzystała, zrozumie jej motywy. Serce waliło jej ze strachu.

- Proszę, wejść do środka.

Brand podążył za Toni, wymijając drepczącego basseta i rozglądając się wokół z ciekawością.

Zarówno dom, jak i budynki gospodarcze wymagały solidnego remontu. Pod wiatą stał traktor, a pod nim leżały porozkładane części. Drzwi werandy, pchnięte przez Toni, zaskrzypiały niemiłosiernie; Beau prześlizgnął się pierwszy i z westchnieniem ułożył na swoim posłaniu w kącie. Na widok wypłowiałych poduszek leżących na wiklinowej sofie, Brand pomyślał, że mógłby spać przez tydzień. Teraz dały o sobie znać noce, spędzone na rozmyślaniu o tym, w jakie tarapaty się wpakował.

Toni wskazała mu miejsce przy stole. Brand powiesił kapelusz przy drzwiach i usiadł. Niepewnym gestem przeciągnął dłonią po włosach. Nagle dostrzegł przygarbione ramiona i opadające kąciaki ust Toni. Wyglądała na zmęczoną, tak jak on.

Przyniosła mu filiżankę kawy i przycupnęła na brzeżku krzesła.

- Po co tu przyjechałeś? - zapytała ponownie, mnąc w rękach kuchenną ściereczkę. Chociaż do-

strzeżał jej napięcie, nie potrafił zdobyć się na delikatność.

- Czy jesteś w ciąży? - Jego słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

Powinien zrobić to bardziej subtelnie, a przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego wybrała właśnie jego, pomyślał poniewczasie,

Toni wdrygnęła się i zbladła.

- Jeszcze nie wiem. - Zagryzła wargi, unikając jego wzroku.

- Zrobiłaś to celowo? - Wciągnął powoli powietrze, jeszcze się łudząc, że ona zaprzeczy. Złudzenia ulatniały się z każdą sekundą oczekiwania. Powiedz, że to nieprawda, błagał ją w duchu.

Toni utkwiała wzrok w podłodze, wreszcie podniosła głowę i potwierdziła skinieniem głowy, nie patrząc mu w oczy.

Więc zastawiła na niego sidła!

- Dlaczego ja?

Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, Dławiła go wściekłość. Na jakiej podstawie sądził, naiwny idiota, że jest inna niż te wszystkie kobiety, które uwodzą mężczyzn dla sportu? Nie dość mu było przykładu własnej matki i byłej szwagierki, które gotowe były kraść i oszukiwać, aby tylko mieć zapewnione utrzymanie i pełną swobodę postępowania? Do cholery, czy niczego się w życiu nie nauczył?

Toni zmieła w dłoniach ściereczkę, aż wreszcie cisnęła ją na sąsiednie krzesło i wrzuciła ramionami.

Przykro mi, ale nie chodziło o ciebie.

Odstawił filiżankę i zerwał się na równe nogi, nie dostrzegając przerażenia w jej oczach.

- Na miłość boską, jeśli nawet nie chodziło ci o mnie, zostałem w to wciągnięty! - wybuchnął.

Toni podniosła ręce obronnym gestem, cofając się.

- Chyba nie przemyślałam tego do końca - przyznała cicho. - Nie sądziłam, że cała sprawa może cokolwiek obchodzić obcego faceta, skoro nie domagam się pieniędzy ani tym bardziej uznania ojcostwa. Jeśli sobie życzysz, podpiszę dokument, że nic od ciebie nie chcę. - Odwróciła się, żeby nie widział, jak się czerwieni. - Nie musisz o niczym wiedzieć. Brand. Możesz spokojnie odejść.

- Nie odejdę, dopóki nie będę miał pewności.

A jak już będziesz ją miał, to co? zapytał sam siebie. Poza swoim młodszym braciszkiem nie miał doświadczenia w kontaktach z dziećmi; nie był nawet pewien, czy je lubi. Ale jedno wiedział na pewno - nie porzuci własnego dziecka, zwłaszcza po tym, co sam przeżył w dzieciństwie.

Spróbował podjąć bezpieczniejszy temat.

- Zawsze masz takie problemy z pracownikami?

- Tak - Toni westchnęła, pocierając drżącą dłoń czolo.

- Dlaczego chciałaś zająć w ciąży?

Wyprostowała się gwałtownie.

- Nie twoja sprawa - powiedziała, czerwieniąc się.

Brand nachylił się ku niej.

- Jeśli masz urodzić moje dziecko, to jest jak najbardziej moja sprawa!

Toni wzdrygnęła się i Brand uzmysłowił sobie, że krzyczał.

- Nie wyjadę, jeśli wszystkiego mi nie wyjaśnisz - powiedział, zniżając głos.

Spojrzała na niego z gniewem. Był pewien, że zaraz każe mu się wynosić, gdy wtem oczy jej zwilgotniały. Przez chwilę myślał, że gra, ale powiedziała drżącymi wargami:

- Mój dziadek umarł.

Uderzył go ból w jej głosie, tylko się nie rozczulaj, upomniał się w myśli.

- Tak, wiem. Przykro mi.

Podniosła głowę.

- Skąd...

- Wynająłem prywatnego detektywa, żeby cię wytropił.

Widząc, jak zaciska usta i nerwowo chwyta kubek, zrozumiała, że jest wściekła.

- Nie rozumiem, co ma wspólnego śmierć dziadka z tym, co się wydarzyło w Vegas? - zapytał ostrożnie.

- Mnie nie zostawiłyby rancza, bo jestem kobietą. Sądził, że kobieta nie da sobie rady. Był zbyt... opiekuńczy. Nie oskarżałam go jednak o męski szowinizm. Rzeczywiście uważał, że nie poradzę sobie sama z prowadzeniem rancza. Jestem weterynarzem, ale on twierdził, że powinnam zajmować się kotkami i pskami, a nie bydłem.

Brand odwrócił się zdziwiony. Czyżby jego aniołek nie był aż taki kruchy, na jakiego wyglądał?

- Jesteś weterynarzem?

- Tak. Skończyłam studia tego lata. Rozmawiałam z dziadkiem, zanim umarł, ale on... - Z zakłopotaniem potarła czoło. - Muszę w ciągu roku mieć męża albo męskiego potomka, inaczej ranczo zostanie sprzedane.

Dopiero teraz zaczynał rozumieć postępowanie Toni. Mimo woli zerknął na jej płaski brzuch. Na myśl że w tym brzuchu może rozwijać się jego dziecko, zapierało mu dech w piersiach.

- A co będzie, jeśli się okaże, że nie jesteś w ciąży, albo że urodzi się dziewczynka?

Toni zacisnęła dłoń na kubku z kawą, aż zbielały jej kostki.

- Wtedy będę musiała zastosować plan B: wynajmę tymczasowego męża - odparła z determinacją.

Dobrze przynajmniej, że nie ma zamiaru pozbyć się dziecka, jeśli okaże się dziewczynką, pomyślał gorzko Brand.

- Czy to miejsce jest tego warte? - Sceptycznie rozejrzał się po zagraconym salonie. - Poświęcasz Bogu ducha winną istotę i sprzedajesz siebie, żeby zatrzymać skrawek ziemi i parę rozwalających się budynków. Niech no zgadnę! Pewnie za jakieś dziewięć miesięcy upomnisz się u mnie o coś jeszcze?

Toni, czerwona jak burak, zerwała się z miejsca i utkwiała w nim wściekłe spojrzenie.

- Wyjaśniliśmy sobie w Vegas nasze stanowiska. Ty nie masz zamiaru się żenić, ja nie chcę męża. Od dziecka słuchałam opowieści dziadka o tym, jakie to kiedyś było bogate ranczo. Znów takie będzie, moja

w tym głowa. A co do dziecka - jej głos złagodniał - będę je kochać i zrobię dla niego wszystko, nieważne, czy urodzi się chłopiec czy dziewczynka. - Potarła czoło, jakby bolała ją głowa. - Tylko że w przypadku chłopca wszystko stałoby się prostsze.

Brand zdążył zauważyć, że ukradkiem otarła oczy. Z niechęcią przyznał jej punkt za to, że nie próbowała rozczulić go łzami. Jego matka w tym celowała.

- Toni, tu się wszystko sypie. Z tego, co widziałem, większość budynków wymaga generalnego remontu, a ogrodzenia wyglądają tak, jakby się miały przywrócić" przy byle podmuchu. Część dachów jest do wymiany, a całość trzeba odmalować. Czy masz na to środki?

Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Opadające na twarz włosy odsłoniły smukły kark. Brand cofnął się szybko, aby nie ulec pokusie.

- Wystarczy mi z ledwością na wypłaty dla robotników na kilka miesięcy... - przyznała. - Nie mogę zwolnić tych nicponi, bo są tani. Żeby mieć lepszą pomoc, musiałabym lepiej płacić, a nie mam zupełnie... - urwała, jakby żałowała, że wtajemniczyła go w swoje problemy. - Może kiedy sprzedam trochę bydła...

- Tu potrzeba dużych sum, Toni. Chyba że sprzedasz całe stado. A w przyszłym roku pojawią się te same problemy, tylko nie będzie już czego sprzedać. Spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Znasz się na prowadzeniu rancza?

- Wychowałem się na ranczu. - Brand wzruszył

ramionami. - A jeśli rzeczywiście jesteś w ciąży? Będziesz pracować tu sama i wychowywać dziecko?

Toni zacisnęła usta i wyprostowała się. Podziwiał jej upór, nawet jeśli uragał rozsądkowi.

- Poradzę sobie.

- Potrzebujesz partnera z kapitałem. - Śledził wyraz zastanowienia na drobnej twarzy. Nie mógł mieć jej za złe, że pragnie ocalić to miejsce. Budynek oczywiście wymagały nakładów, ale, jak zdążył się zorientować, był to niezły kawałek ziemi. Na twarz Toni odmalowała się rezygnacja.

- Może cichego współnika.

Brand skrzywił się. Już raz próbowała mu się wymknąć. Był tylko jeden sposób, żeby zagwarantować sobie prawa ojcowskie, na wypadek gdyby znów chciała czmychnąć. Po prostu ożenić się z nią.

- Twoje rancho, moje pieniądze... - Słyszac własne słowa, zastanawiał się, czy postradał zmysły. Przysiągł sobie przecież nigdy nie wiązać się z żadną kobietą. Są zbyt wymagające i nie sposób ich zadowolić. Jego ojciec i brat wypruwali sobie żyły, by uszczęśliwić swoje żony, i co zyskali? I tak odeszły, ale dopiero po wydarciu mężom ostatniego centa.

Toni popatrzyła na niego, jakby również myślała, że zwariował.

- A jeśli okaże się, że nie jestem w ciąży?

Wtedy przynajmniej miały ją znów w łóżku przez jakiś czas. W końcu, ze zrozumiałych względów, Toni Swenson była z nim związana bardziej niż jakakolwiek inna kobieta.

- Powiedziałaś, że będziesz dziedziczyć, jeśli wyjdiesz za męża? - upewnił się.

Potwierdziła niepewnie.

- No to wyjdź za mnie.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Ależ ja... nie chcę wychodzić za męża.

- Ja też nie mam ochoty się żenić, ale nie daruję sobie, jeśli... - Nie dodał już „ponownie” - ..ucieknie z moim dzieckiem.

Na twarzy Toni znów odmalowała się niepewność. Wstała i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem, od stołu do drzwi, aż wreszcie zatrzymała się przed Brandem i popatrzyła na niego w napięciu.

- Pod warunkiem, że zawrzemy umowę przedślubną - oświadczyła stanowczo. - Nie zamierzam stracić mojej ziemi przez faceta, który w pewnym momencie znajdzie sobie gdzie indziej... - Przez chwilę szukała właściwych słów - ...bardziej zieloną łąkę.

- W porządku. Potrzebuję paru dni, żeby zgromadzić dokumenty i sprowadzić tu moją rodzinę. Możesz w tym czasie przygotować mi umowę do podpisania. - Ujął ją pod brodę i podniósł jej twarz ku swojej, aż ich spojrzenia spotkały się. - Pół na pół, Toni, nie zgódzę się na mniej.

Jej bliskość sprawiła, że zaczęły osaczać go myśli, od których starał się uciec. Wyprostował się i odsunął.

- I jeszcze jedno. Gdybyś mnie opuściła, dziecko zostanie przy mnie, a także zyskam prawo do twojej części ranca.

- A jeśli to ty odejdziesz?

Wzruszył ramionami.

- To obowiązywać będzie w obie strony.

Toni poczuła, że nogi się pod nią uginają. Jak to się stało, że jej przemyślny plan spalił na panewce?

Ruch na podwórzu odwrócił jej uwagę od rozmowy z tym kowbojem, z którym całkiem serio planowała małżeństwo. To robotnicy kręcili się koło szopy. Toni zżymała się, widząc, jak zarządca podnosi do ust butelkę, następnie podaje ją koledze, a ten, pociągnąwszy łyk, przekazuje ją następnemu. Brand stanął za nią. Zbyt blisko, pomyślała, czując jego oddech na karku i ciepło promieniujące od jego ciała.

Nagle uderzył pięścią w stół, aż podskoczyła.

- Wypisz dla nich czek. Idę ich wyrzucić.

- Ale... kto mi będzie pomagał? - Chwyliła go za ramię i natychmiast cofnęła rękę, czując przęcające się mięśnie.

- Znam wielu kowbojów, którzy poszukują pracy poza sezonem. Ustawią się tu w kolejce. - Brand wcisnął kapelusz na czoło i ruszył do drzwi.

Toni przymknęła oczy i potarła dłońmi skronie gestem, który ostatnio wszedł jej w nawyk. Sprawy przybierały zły obrót, w dodatku wszystko toczyło się za szybko. Potykając się, przeszła do gabinetu dziadka i ciężko opadła na stary skórzany fotel. Palce paliły ją jeszcze od dotknięcia Branda, a ręce trzęsły się tak, że z trudnością wypisywała czek.

Odłożyła pióro i ukryła twarz w dłoniach. I co zrobiła? Chyba słuchała podszeptów diabła. Może była

jużw ciąży, a co wiedziała o byciu matką? Nic! Na dokładkę przed chwilą zgodziła się wyjść za obcego faceta!

Jej wzrok padł na leżący obok list. Była to negatywna odpowiedź banku na jej prośbę o pożyczkę. Wróciła do ostatnich zapisków dziadka: wyschły studnie, a dach stodoły przeciekał jak sito. Dziadek martwił się, że pierwszy większy deszcz zniszczy zbiory złożone na stryszku.

Nieprzewidziane wydatki, których się obawiała, rosły. Brand miał rację, nie starczy jej pieniędzy, nawet jeśli wyprzeda się ze wszystkiego.

Nie ma innego wyjścia - trzeba zaakceptować Branda jako współnika. I jako męża. Ale skąd mogła wiedzieć, czy kiedyś on nie zechce pozbawić jej własności? Skąd pewność, że jej nie skrzywdzi? Wyprostowała się dumnie. Potrafi się obronić. Prawnik dziadka przygotowuje dokument, dzięki któremu ocali swoją ziemię. Nie odda dziedzictwa wędrownemu kowbojowi. I niech ten przystojniak sobie nie wyobraża, że kiedyś porzuci go i zostawi mu dziecko z ranchem na dokładkę.

Z pewnością to nie ona odejdzie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przemierzając podwórze, Brand szacował wzrokiem stan budynków, układając sobie w myślach listy potrzebnych materiałów, a także próbując ocenić ilość czasu i pracy, potrzebnych do wykonania remontu. Lista była prawie tak długa jak lista powodów, dla których nie powinien żenić się z Toni. Tymczasem miał nie tylko ożenić się, ale jeszcze doprowadzić podupadłe ranczo do kwitnącego stanu. I wszystko to z powodu dziecka, które ona być może nosi...

Jego dziecka.

Podszedł do nadzorcy. Robotnicy ożywili się nagle, usiłując sprawiać wrażenie, że pracują.

- Nie możecie trafić na wschodnie pastwisko?

- Będziemy przeganiać bydło dopiero za parę dni, z tym płotem to nic pilnego... Dziewczyna nie zna się...

- Nie wykonałeś polecenia. Możesz się pakować, jesteś zwolniony.

- Ty nie możesz mnie zwolnić. - Zarządca, bojowo wysuwając szczękę, postąpił krok naprzód.

Brand stał spokojnie. Znał tego typu facetów.

- Wynoś się - powiedział.

- Nie mam zamiaru.

- A ja ci mówię, że się wyniesiesz.

Brand, spodziewając się ciosu, przechwycił żylastą pięść, skręcił ramię szybkim chwytem i rzucił meżne na plecy. Pozostali zachowali widocznie re-
---ki rozsądku, by go nie atakować. Brand odwrócił się z niesmakiem i ruszył w stronę domu. Nagle zaalarmował go szelest za plecami. Zarządca zerwał się ze sprawnością zadziwiającą jak na jego tuszę i alko-
---- we oszołomienie, i ruszył do kolejnego ataku, Chwycił Branda w żelazny uścisk, wołając:

- Dajmy nauczkę temu ujeżdżaczowi byków, chłopcy.

Dwaj pozostali zbliżali się wolno, z zaciśniętymi ciami.

Brand nawet nie zdążył pomyśleć, jak bardzo nieostrożnie postąpił, odwracając się do nich tyłem, kiedy zelektryzował go suchy, głośny trzask. Metalowa tabliczka umieszczona na słupku nad ich głowami zakołysała się gwałtownie. W samym środku opony namalowanego na niej traktora pojawił się otwór po kuli. Brand obejrzał się w kierunku domu.

Toni stała na schodkach werandy ze strzelbą, celując prosto w zarządcę.

- Pakuj się i wynoś - powiedziała zimno. - Szeryf zaraz tu będzie.

Matthews, przeklinając pod nosem, puścił Branda, Robotnicy rzucili się do szopy.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Toni, zabezpieczając broń. Brand zauważył, że głos jej drży, a usta pobladły. - Mogą być z tego kłopoty.

- Będziemy się mieć na baczności.

Nie uszło jego uwagi, jak fachowo obchodziła się z bronią.

- Będziesz mnie musiała we wszystko wtajemniczyć, kochanie.

Patrzyła na niego nieufnie. Świetnie strzela. Ciekawę, jakie jeszcze ma umiejętności, pomyślał.

Samochód szeryfa, wzbijając tumany kurzu, skręcił na podjazd i zatrzymał się nieopodal.

- Masz jakieś kłopoty, Toni?

- Josh!

Świeżo upieczona narzeczona Branda rzuciła się przez podwórze, aby uściskać mężczyznę wyglądającego bardziej jak mistrz surfingów niż zastępca szeryfa Fala gorąca, która ogarnęła Branda, nie mogła być wynikiem zazdrości. Zbyt krótko znał tę kobietę, żeby być o nią zazdrosnym. Po prostu nie można jej ufać, stwierdził i to go denerwowało.

Zastępca szeryfa popatrzył na strzelbę w rękach Toni, potem na Branda, i położył dłoń na kaburze rewolweru.

- To on sprawia ci kłopoty?

- Brand? Nie. On... ja...my...

- Jestem Brand Lander, narzeczony Toni. - Brand zbliżył się, wyciągając prawą rękę na powitanie, a lewą obejmując Toni w pasie i przyciągając ją do siebie.

- Joseph Keegan. - Szeryf po krótkim wahaniu uścisnął jego dłoń.

Toni nie wyglądała na uszczęśliwioną. Stała sztywno obok Branda, błędząc wzrokiem od jednego do drugiego.

- Więc o co chodzi?

- Zwolniliśmy paru robotników, ale oni nie śpieszą się z odejściem.

- To znaczy, że dziadek w końcu zapisał ci ranczo? Stary zmiękł czy zapomniał, że jesteś dziewczyną?

- Niezupełnie. - Toni usiłowała się wyrwać z uścisku, ale Brand nie miał zamiaru jej puścić. - Josh obawiam się, że mój były zarządca, Matthews, może nam sprawiać kłopoty. Już próbował zranić Brnda.

- Wnosicie skargę? - Keegan wyciągnął notes.

- Nie tym razem - odpowiedział Brand. - Wystarczy odnotować zdarzenie.

- To już nie pierwszy raz wasz zarządca pakuje się w kłopoty. Przynajmniej raz w miesiącu wdaje się w bójkę w którymś barze w mieście.

Robotnicy wyszli właśnie z szopy, wrzucili narzędzia na naczepę swojego pikapa i ruszyli. Keegan spisał ich nazwiska oraz numer rejestracyjny samochodu. Po spełnieniu obowiązku zaczął się znów z atencją przyglądać Toni. Brand obserwował go z rosnącym niesmakiem.

- Miło cię widzieć. Co porabiałaś?

Toni uśmiechnęła się do zastępcy szeryfa tak, jak nidy nie uśmiechała się do Branda. To również wydało mu się niesmaczne. W gruncie rzeczy, stwierdził, ten cały stróż prawa zupełnie mi się nie podoba. Przy-słojniaczek, niby przyjacielski, a jak pozerają wzrokiem! No, no, sam nie wiedział, że potrafi być tak zaborczy.

- Zrobiłam dyplom z weterynarii. Wstąpisz na kawę? Brand spiorunował ją wzrokiem.

- Szeryf na pewno spieszy się do swoich obowiązków, kochanie.

Josh rzucił mu uważne spojrzenie i skierował się do samochodu.

- Tak... no właśnie, rzeczywiście powinienem już jechać. Wstąpię innym razem i skorzystam z twojego zaproszenia, Toni.

Kiedy wóz szeryfa zniknął w tumanie kurzu, Toni odsunęła się od Branda.

- Jak śmiałeś być tak niegrzeczny wobec Josha?
- Pomimo zuchwałego tonu, patrzyła na niego czujnie. Wyglądała tak, jakby w każdej chwili była gotowa do ucieczki.

Brand zmarszczył brwi.

- Porozumienie obowiązuje w obie strony. Ja nie oszukuję ciebie, ty nie oszukujesz mnie.

Toni aż podskoczyła z wściekłości.

- Na litość boską, on jest dla mnie jak brat!

- Powiedz to jemu. Czy twój dziadek płacił swojemu zarządcy dostatecznie dużo, żeby stać go było na samochód za trzydzieści tysięcy dolców?

W miejsce gniewu w oczach Toni pojawiła się podejrzliwość.

- Nie sędzę - przyznała niechętnie.

- Jest tu wiele do zrobienia. Pozwól, że ci powiem, od czego chciałbym zacząć - powiedział Brand, kierując się w stronę jednej z szop. Toni ujęła się pod boki, nie ruszając z miejsca.

- Posłuchaj, to miał być układ partnerski, a nie dyktatura. Jeśli wszystko ma się udać, musimy zwłaszcza porozmawiać o kosztach.

Toni miała wrażenie, że znalazła się na polu bitwy. Brand zatrzymał się gwałtownie i powoli odwrócił ku niej. Jedną dłoń zacisnął w pięść, drugą zsunął kapełusz z czoła.

- Czy moglibyśmy przejść się po posiadłości i ustalić wspólnie, co jest do zrobienia? Miałbym parę sugestii, jeśli pozwolisz.

Jego słowa zabrzmiały ironicznie, a oczy patrzyły zimno. Nie było sensu sprzeciwiać się, zwłaszcza kiedy był zły. Nie miała wątpliwości, że Brand Lander jest niezwykle silny; silniejszy nawet od jej ojca. Mogła się o tym przekonać, kiedy przewrócił Matthewsę.

Zachowaj dystans, powiedziała sobie. Kieruj się rozsądkiem.

Zbliżyła się do niego ostrożnie.

- Ważniejsze od zabudowań są dwie wyschnięte studnie, przewrócone płoty i łąki, które trzeba ponownie obsiać. Bez tego nie tylko nie powiększymy stada, ale nawet go nie utrzymamy.

W oczach Branda błysnęło zdziwienie. Skinął głową, tym razem całkowicie zgadzając się z jej opinią.

- Możemy wziąć samochód czy mamy jechać konno?

Toni wskazała starą ciężarówkę.

- Możemy pojechać, jeśli zdołamy ją uruchomić. Mój wóz nie nadaje się do jazdy terenowej.

- Później zobaczę, co się z nim dzieje. Na razie możemy wziąć mój.

Podeszli do białego pikapa, zaparkowanego pod starym dębem. Brand otworzył drzwi szoferki i Toni wsiadła, mówiąc:

- Nie takiej limuzyny spodziewałam się po czterokrotnym mistrzu świata.

- Potrzebuję niezawodnego samochodu, żeby jeździć z jednego rodeo na drugie, a nie kosztownej zabawki dla szpanu. Kupiłem ten i jeszcze drugi, dla ojca, za pierwszą większą wygraną. Większość nagród składałam w banku lub inwestuję.

Toni poczuła dotknięcie jego twardych palców na policzku. Wstrzymała oddech, gdy Brand nachylił się ku niej, ale w następnej chwili odsunęła się.

- Nie rób tego.

- Dlaczego?

- Wyjdę za ciebie, ale... nie będę z tobą sypiać.

Cofnął się z urażoną miną.

- Nie pamiętam, żebyś miała coś przeciw temu w Vegas.

- Prawie się nie znamy.

- Było nam dobrze, Toni. Lepiej niż dobrze.

- Wiem, ale potrzebuję czasu.

- Ile?

- Nie wiem. Nie kocham cię i... - Nigdy nie przypuszczała, że seks z mężczyzną, którego nie kocha, może jej sprawić przyjemność.

- Tamtej nocy nie potrzebowałaś uczucia - stwier-

dził gorzko. - Nawet nie chciałaś mnie, tylko Bobby'ego Lee.

- Mylisz się, jego też nie chciałam. Potrzebny mi był kowboj, który zapewni mi wymarzony dom, a on wydawał się odpowiednim typem. To wszystko - zakończyła cynicznie, ucinając dalszą dyskusję.

- Nie wspominaj o dziecku przy mojej rodzinie - powiedział Brand następnego dnia, nie odrywając wzroku od listy zakupów, leżącej przed nim na stole. Toni ręka zadrżała tak, że rozlała kawę, parząc sobie palec.

- Może wcale nie jestem w ciąży, Brand. W końcu to była tylko jedna noc.

Jedna długa, namiętna noc. Toni, dmuchając na palec, starała się uspokoić oddech. Przez cały ranek próbowała sobie wmówić, że Brand wcale nie wygląda nadzwyczajnie w obcisłych džinsach i kolorowej koszulce. Zadurzenie mogłoby przeszkodzić w realizacji głównego celu. Najważniejsze, to zachować zinną krew.

Z talerzem pełnym naleśników, które zostawił dla niej na kuchni, usiadła przy odległym końcu stołu. Nie mogła jeść, była zbyt zdenerwowana. To przecież tł/ień jej ślubu.

- Nie mam zamiaru chwalić się od progu przed twoją rodziną, że mogę być w ciąży. Nie potrzebowałeś mi tego mówić - powiedziała z urazą.

Brand usiadł naprzeciwko niej i sięgnął po listę.

na kobieta, której ciąża okazała się czystym wymysłem. Jego małżeństwo to były dwa lata piekła dla nas wszystkich.

Toni odłożyła widelec, czując rosnący ucisk w gardle. Oto miała poślubić nieznanego i wejść do rodziny, która pewnie ją znienawidzi, kiedy się dowie, co zrobiła.

- Czego jeszcze muszę się wystrzeżać?

Brand bębnił palcami po stole, zacisnąwszy usta. Już myślała, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Muszę ci powiedzieć, że moja rodzina podziela opinię twojego dziadka co do roli kobiety na ranczu.

Czy wszyscy mężczyźni są tacy wściekle tradycyjni? pomyślała z niesmakiem.

- Dlaczego kobieta nie miałaby prowadzić rancza? - zapytała prowokacyjnie.

Zastanowił ją jakiś ulotny wyraz w jego spojrzeniu

- Moja matka odeszła, kiedy miałem osiem lat. Wyobrażam sobie, że nie mogła wytrzymać ciągłego zamknięcia w domu z zasmarkanymi bachorami. - Ból i gorycz wykrzywiły mu usta i uczyniły jego głos twardym. Toni zrobiło się żal opuszczonego, małego chłopca, jakim musiał wtedy być.

- Domyślam się, że nie zostaną przyjęta z otwartymi ramionami.

- Raczej nie - mruknął.

Odsunęła talerz, ostatecznie tracąc ochotę najedzenia.

- Opowiedz mi coś więcej o swojej rodzinie. Ilu masz braci?

- Trzech - odpowiedział Brand, myjąc swój ku-

bek - Caleb jest o dziesięć lat starszy ode mnie, Patrick - o osiem, a Cort ma o sześć lat mniej niż ja. - Wyraz jego twarzy złagodniał. - Studiuje medycynę w Duke.

- Boże, musiał mieć dwa lata, kiedy wasz, 'tka odeszła.

Brand włożył kapelusz i skierował się do drzwi.

- Mam coś do zrobienia. Zadzwoń, gdyby się pojawili przed moim powrotem. Jutro ty robisz śniadanie. - Wziął ze stołu kawałek kiełbasy i wyszedł. Na dworze czekał już na niego, machając ogonem, ten stary zdrajca Beau.

Brand osiodłał sobie najbardziej narowistego konia w stajni, młodego gniadosza. Łudził się, że konieczność walki o utrzymanie się w siodle pomoże mu zapomnieć o problemach. Mylił się. Głos matki brzmiał w jego głowie, jakby to było wczoraj. Pamiętał, jak siedział na jej łóżku, patrząc, jak się pakuje. Cort płakał w swoim łóżeczku w pokoju obok.

- Muszę odejść, Brandonie, bo dłużej już tak nie mogę żyć. Jeśli zostaną jeszcze chwilę, po prostu się zastrzelę. Tata, Caleb i Patrick zadbają o ranczo, a ty zajmij się Cortem. To będzie twoje zadanie. Kiedy wszystko się uspokoi, odwiedzę ciebie i Corta.

Miał wtedy osiem lat. Trochę potrwało, zanim się z tym pogodził. Później, kiedy było ciężko, pocieszał się zabawą z kobietami. Nic jednak nie mogło wypełnić pustki, którą odczuwał, wracając wspomnieniem do chwili, kiedy próbował odwrócić uwagę rozpacza-

jącego dwuletniego braciszka, podczas kiedy matka odjeżdżała. Nigdy już nie wróciła.

Prędzej czy później, niezależnie od tego, czy będzie w ciąży, czy nie, Toni zapragnie wolności, a on, podobnie jak jego ojciec, sam będzie zmagał się z gospodarstwem i dziećmi. Na szczęście jego dzieci nie będą musiały harować jak niewolnicy. Stać go było na wynajęcie robotników. Rocking A to piękny kawałek ziemi i można tu wychować dziecko.

A na razie postara się nie popełnić tego samego błędu co jego ojciec i brat. Nie zakocha się w kobiecie, którą ma poślubić, i nie pozwoli złamać sobie serca.

Toni wygładziła dłonią stanik sukni ślubnej, którą kupił jej Brand, i poszła otworzyć drzwi trzem mężczyznom o zgorzkniałych twarzach. Wszyscy byli ciemnooccy i ciemnowłosi, ale żaden nie miał takiego uśmiechu ani wspaniałej, męskiej sylwetki jak Brand. W swoich najlepszych niedzielnych garniturach, z wypomadowanymi włosami, wyglądali, jakby wybierali się raczej na pogrzeb niż na wesele.

- Dzień dobry. Jestem Toni Swenson - jej głos zabrzmiał słabo. Żeby to zatuszować, uśmiechnęła się wylewnie i wyciągnęła dłoń do najstarszego mężczyzny. Zanim odwzajemnił powitanie, zmierzył ją bawdawczym wzrokiem. Sądząc z jego zachmurzonej miny, oględziny nie wypadły najlepiej.

- Jack Lander, a to moi synowie: Caleb, Patrick i... gdzie się ten chłopak znów podział?

- Tu jestem - młody człowiek, który głąskał właśnie Beau, wyprostował się i podszedł do Toni. - Jestem Cort, a ty pewnie jesteś Toni? Widzę, że Brand ma dobry gust. Może byś tak rzuciła go i uciekła ze mną, kochanie? - Mrugnął do niej i Toni omal nie parsknęła śmiechem. Cort miał uśmiech i wdzięk Branda, był tylko bardziej delikatnej budowy.

- Hamuj się, mały - odezwał się głos tuż za nią. Brand objął ją w talii, a drugą ręką przyjacielsko szturchnął brata.

Toni zastanawiała się, czy Brand miał zamiar udawać, że ich niespodziewany związek wynika z wielkiej miłości. Wyślizgnąwszy się z jego ob-ec, spojrzała na niego, szukając odpowiedzi. Widok Branda w ciemnym garniturze przeszedł jej oczekiwania. Krój marynarki uwypuklał szerokość jego barów, a biały kołnierzyk koszuli podkreślał śniadość cery.

Rozległ się dzwonek.

- Ja przyjmę. Czekam na telefon - powiedział Brand.

Toni zerkała na mężczyzn. Zapanowała niezręczna cisza. Wszyscy z wyjątkiem Corta przyglądali się jej podejrzliwie, jakby była nową odmianą groźnego wi--sa.

- Wejdźcie. Może... zrobię kawę?

Caleb Lander popatrzył na nią spode łba.

- To pewnie wpadka?

Toni o mało nie potknęła się o brzeg sukni. Reszta rodziny nie wydawała się zaszokowana jego grubo-

skórnością. Na pewno musiał ich zastanowić tak pośpieszny ślub.

- Ładnie witasz moją narzeczoną - powiedział surowo Brand, wracając do pokoju.

- Wyłącznie w trosce o ciebie, braciszku.

- Potrafię się sam o siebie zatroszczyć.

Zwracając się do Toni, Brand położył jej dłonie na ramionach.

- Czy już ci mówiłem, że ślicznie wyglądasz? - zapytał, masując jej kark. Czuła, jak pod magicznym dotknięciem jego palców znika napięcie. Gdyby nie była tak zdenerwowana, chyba zaczęłaby mruzczyć z zadowolenia. Na szczęście młodszy brat sprawił, że czar prysnął.

- Brand, znów przysłałeś za dużo pieniędzy na czesne - powiedział Cort, wyciągając z kieszeni czek.

- Zachowaj je. Nie chcę, żebyś musiał pracować, studiując.

- W takim razie potraktuję to jako pożyczkę. Może dostanę stypendium?

- Nie chcę tych pieniędzy. Chodźmy.

Toni poczuła skurcz w żołądku, serce waliło jej jak młotem, nogi ugiwały się pod nią i bała się, że zemdleje. Brand pomógł jej wstać z krzesła.

- Dobrze się czujesz?

Wydawało jej się, że dostrzega szczerą troskę w jego oczach, lecz uznała, że to tylko pokaz dla rodziny, podobnie jak piękna suknia, którą jej kupił. Powstrzymując mdłości, skinęła głową i pozwoliła mu poprowadzić się do wyjścia. Podmuch wiatru uniośł długą, obfitą spódnicę satynowej sukni ślubnej.

Brand domyślał się, że spotkanie z jego rodziną nie jest dla Toni łatwe. Była prawie tak blada jak jej biała suknia i zachowywała się bojaźliwie. Otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Mogę jechać z wami? - zapytał Cort.

Brand wpuścił go na tylne siedzenie i pomógł Toni wsiąść. Pozostali pojechali za nimi pikapem.

Cort wypytywał brata o zawody rodeo, dzięki czemu Brand mógł choć na chwilę oderwać myśli od rzeczywistości. Był bardziej spięty niż wtedy, gdy dosiadał ostatniego byka na mistrzostwach. I nie chodziło wcale o pieniądze, które inwestował w ten dziwny układ.

Prawniki Toni wyjechał, ale jego wspólnik przygotował umowę przedślubną. Jeśli by chciała go porzucić, nie dostanie więcej, niż miała na początku. Ponadto miał prawo pierwokupu farmy, na wypadek, gdyby rancho miało zostać sprzedane. Znalazł się tam również punkt, na który szczególnie nalegał, dotyczący opieki nad dzieckiem. Uśmiechnął się gorzko. Która kobieta zgodziłaby się wyrzec własnego dziecka? każda, odpowiedział sam sobie. Kobiety, z małymi wyjątkami, są niestałe w uczuciach, nawet macierzyńskich.

Ubiegłej nocy postanowił, że jego rodzina musi uwierzyć, iż jest to małżeństwo z miłości. Przewidywał, że jego syn lub córka mogą pewnego dnia zacząć zadawać pytania. Chciał, żeby jego dziecko wiedziało, iż zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby zatrzymać Toni. Miał żal do ojca, że nie potrafił po

stąpić podobnie z matką i nie chciał, aby sytuacja się powtórzyła.

Jeśli w ogóle będzie jakieś dziecko...

- Jak się poznaliście? - zapytał Cort.

- Na rodeo. - Brand zerknął na pobladałą twarz Toni. Wiedziała, czego chce, i potrafiła tego dopiąć. On również taki był.

- Więc to była miłość od pierwszego wejrzenia?

- A jak myślisz? - odpowiedział zaczepnie.

Toni przygryzła usta.

- Pewnie, nie ma się co ociągać, jak się trafi na to, czego się szukało.

- Właśnie - potwierdził Brand, wjeżdżając na parking

- Lepiej zaparkować bliżej urzędu stanu cywilnego. - Toni ocknęła się z letargu, w którym trwała przez całą drogę. Bładość jej twarzy w połączeniu z bielą sukni sprawiała, że niebieskie oczy lśniły, kontrastując z ustami, pociągniętymi bladą różową pomadką. Nie oparł się pokusie, żeby zetrzeć jej szminkę z ust pocałunkiem.

Jej wargi rozchyliły się pod dotknięciem jego ust. Ogarnęło go pożądanie jeszcze bardziej gorące niż w Vegas. Ta dziewczyna działała na niego jak szklanka tequili na pusty żołądek.

- Wolnego... - Cort ze śmiechem szturchnął Branda w ramię.

Brat cofnął się niechętnie, nieco zmieszany. Toni zarumieniona, podobnie jak on nie mogła złapać tchu. Rzuciła się do drzwi, jakby chciała przed nim uciec jak najdalej. Chwycił ją za rękę.

- Czy to jest kościół, w którym brali ślub twoi rodzice? - zapytał.

- Tak. Myślałam, że weźmiemy ślub cywilny.

Brand potrząsnął głową, wysiadł z samochodu i otworzył drzwi dla narzeczonej. Toni zagryzała wargi prawie do krwi. Jej zimne dłonie drżały w jego dłoniach. Widział, że, podobnie jak on, nie pragnie tego ślubu. I nie miał pojęcia, dlaczego sprawiło mu to przykrość.

Toni, nie czekając na nich, oddaliła się w kierunku kościoła.

- No więc jest w ciąży czy nie? - zapytał Cort.

- Zdziwiłbym się, gdyby nie była.

- Kochasz ją?

Brand podążył wzrokiem za drobną, jasną postacią. Bez wątplenia jego przyszła żona pociągała go bardzo. AJe czy to miłość?

- A jak myślisz?

- Nie wygłupiaj się, opowiedz mi wszystko, bo jak nie... to będę sobie musiał sam odpowiedzieć.

- Więc sam się domyśl. - Brand uśmiechnął się szeroko i podążył za Toni.

Nie wiadomo, ile czasu będzie trwało ich małżeństwo, ale wkrótce będą stanowić jedność.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Toni szła w kierunku kościoła, czując, jak jej zderowanie narasta. Chyba jest szalona. Nawet nie ma pewności, że jest w ciąży! Jednakże wychodząc za Branda, ocali ranczo. Kiedy już cel zostanie osiągnięty, każde z nich może pójść swoją drogą.

Jak może myśleć o rozwodzie, zanim jeszcze zdążyli wziąć ślub? Małżeństwo powinno być związkiem na całe życie. Taki był związek jej rodziców. Skrycie połykała łzy, mówiąc sobie, że jej kolejne życiowe złudzenie właśnie się rozwiewa. Najpierw uprawiała seks bez miłości, a teraz stoi przed kościołem w pięknej sukni ślubnej i rozmyśla o rozwodzie.

- Skąd wiedziałaś, że to ten kościół? - zapytała, gdy Brand zbliżył się do niej.

Wzruszył ramionami.

- Zobaczyłem w salonie zdjęcie twoich rodziców i poznałem to miejsce, kiedy przyjechałem do miasta. Pastor pamięta ciebie i twoją rodzinę.

Wyczuwała pytanie w jego głosie, ale nie chciała wyjaśniać, dlaczego nie zaprosiła swoich rodziców.

Brand ujął ją pod ramię i poprowadził do zakrystii. Na progu powitała ich pani Betts, żona pastora. Uściłaskała Toni i podała jej bukiet kwiatów.

- Jak to miło widzieć cię znów, Toni, i to w tak szczęśliwej chwili. Wyglądasz prześlicznie.

Toni popatrzyła na kwiaty.

- Ależ, pani Betts, nie trzeba było...

- To twój narzeczony prosił, żebym ich dla ciebie nzbierała - powiedziała starsza pani, mrugając do Branda. - Prosiłeś o białe róże, ale ja pamiętam, że Toni bardzo lubiła stokrotki, które rosną przed naszym domem. Chyba się nie pogniewasz, że dodałam kilka tych kwiatków do bukietu.

- Ależ skąd, proszę pani.

Toni ze zdziwieniem spojrzała na Branda. Lekceważąco wydał usta, ale jego oczy pozostały poważne.

- Panna młoda powinna mieć bukiet, kochanie.

Serce jej podskoczyło. Urok tego faceta był zniewalający i czuła, że zaczyna doświadczać w całej pełni jego działania. Czy właśnie coś takiego przydarzyło się jej matce?

- Wszystko gotowe? - zapytał Brand.

- Zapięte na ostatni guzik - potwierdziła rozpromieniona pani Betts. - Macie papiery?

Brand podał jej dokumenty i obejmując Toni w tali, poprowadził ją do cichej świątyni. Wielebny Betts zbliżył się, aby ich powitać. Toni z trudem rozumiała, co mówi. Światło świec, kwiaty, kolorowe szyby. Bożec, co ona robi w tej bajce?

Pastor ustawił ich na końcu nawy. Z jednej strony miała panią Betts, z drugiej Branda. Ojciec i bracia pana młodego stanęli za nimi. Poczuli się jak w pilłapce. Wszystko działało się jakby zwolnionym Itfin

Brand ujął ją za rękę. Gdy pastor poprosił o obrączki serce Toni zamarło. Cort puścił do niej oko i wyciągnął z kieszeni dwie grube złote obrączki. Słowa przy sięgi małżeńskiej są tym, o czym marzy większość dziewcząt, jednak Toni wydawało się nieuczciwością; wypowiadać je, nie wierząc w miłość i nie zamierzaając pozostać „z tym oto mężczyzną, dopóki śmie *iv was* nie rozłączy”.

Jej rozbiegany wzrok napotkał spokojne spojrzenie Branda. Powtarzał słowa przysięgi głębokim, pewnym głosem, a potem włożył jej na palec obrączkę. Ręce mu nie drżały. Za to jej ręce trzęsły się tak, że o mało nie upuściła jego obrączki.

- Możesz pocałować pannę młodą.

Brand ujął w dłonie twarz Toni i pocałował ją, w usta, jakby chciał przypieczętować je znakiem posiadania, a potem objął żonę i mocno przygarnął do siebie. Toni straciła poczucie miejsca i czasu. Czuła bicie serca Branda. Jego zapach i smak wnikały do krwioobiegu, działając jak narkotyk. Fala gorąca oblała ją warem, gdy poczuła na swym łonie moc jego pożądania.

- Jezus, Brand, zachowaj siły na dzisiejszą noc!
- Odskoczyli od siebie na dźwięk złośliwych słów Corta.

Pastor zaprowadził ich do zakrystii i podał Tom pióro. Antonia Swenson Lander podpisała dokument, walcząc z drżeniem ręki.

Zza chmur wyszło słońce, złocąc całą okolicę. Con tym razem zabrał się z rodziną, zostawiając państwa

młodych sam na sam. Toni ze zdwojoną intensywnością poczuła wagę swojego postępku. Nigdy nie pragnęła małżeństwa i nie miała zamiaru dać żadnemu mężczyźnie tego rodzaju władzy nad sobą - a jednak złote krążki, lśniące na ich palcach, przypominały bezlitośnie, że to już się stało. Brand umożliwił jej zachowanie rancza i z niezwykłym wyczuciem zorganizował taki ślub, jaki akceptowała lokalna społeczność.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Za co?

- Za sukienkę, kwiaty, kościół, nastrój. To tak, jakby naprawdę...

- To był prawdziwy ślub. Toni. Nie powinnaś mieć wątpliwości. - Wyraz jego oczu mówił jasno, co miał na myśli. Jej nerwy były napięte jak struny. Na drodze dojazdowej do rancza stały dziesiątki samochodów. Zazwyczaj tylko pożar mógł ściągnąć takie tłumy.

- Co tu się dzieje, Brand? - zapytała z niepokojem, sięgając do klamki.

Półciężarówka Landerów i samochód Bettsów zaparkowały tuż za nimi. Brand pomógł jej wysiąść. Natychmiast zjawiła się pastorowa.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz - powiedziała. - Tyle osób pamięta, jak przyjeżdżałaś do dziadka. Wszyscy chcieli powitać ciebie i twojego męża. Szkoda tylko, że twoja mama nie może tu być.

Toni wzdrygnęła się. Nie zaprosiła matki, bo wiedziała, że nie przyjedzie sama, a ojciec zachowywał

się nieobliczalnie. Będzie starała się odwlekać konfrontację jak najdłużej. Można to nazwać tchórzstwem, ale teraz musi mieć na względzie Branda i dziecko.

Brand, zaciskając zęby, próbował się uśmiechać. Jego żona tańczyła z zastępcą szeryfa. Szukał okazji, żeby wkroczyć między nich, a tu jak na złość każdy z nowych sąsiadów miał mu coś interesującego do powiedzenia. Podobnie jak ten mężczyzna, który właśnie zatrzymał go przy misce z ponczem.

- Toni spędzała u Willa każde wakacje i każde święta, jak daleko sięgam pamięcią - mówił. - Chodziło o to, żeby jak najmniej przebywała z... - urwał gdy żona rzuciła mu znaczące spojrzenie. Mężczyzna odchrząknął, zakłopotany.

Brand zmarszczył brwi. Od kogo Toni musiała uciekać?

Farmer poprawił kołnierzyk koszuli.

- Toni buszowała po ranczu razem z Rustym, nad zorcą Willa. To on nauczył ją strzelać i jeździć konno jak kowboj. Mówił, że musi w razie czego umieć się obronić... - Żona znów spiorunowała go spojrzeniem, ale tym razem zignorował ją. - Willowi nie podobały się szaleństwa wnuczki, ale i tak bardzo ją kochał.

Branda bolały już mięśnie twarzy od uśmiechaniu się, a w głowie mu wrzało. O czym jeszcze nie wie działo? Słyszając śmiech Toni, spojrzął na drugą stronę podwórza. Postanowił upomnieć się o żonę, wici

grzecznie przeprosił swoich rozmówców, wyłączył muzykę i nalał dwie porcje szampana. Tańczący zatrzymali się w pół kroku.

Podchwytując spojrzenie Toni, uniósł plastikowy kubeczek.

- Chciałbym wnieść toast za piękną pannę młodą, jedyną kobietę, która potrafiła sprawić, że rzucam ieo.

Usłyszał naokoło okrzyki zdziwienia, ale interesował go tylko wyraz nagłej konsternacji na twarzy Toni.

- Co takiego?! - ryknął Caleb. - Miałeś przecież jec;hać na kolejne mistrzostwa świata!

Brand ruszył przez podwórze, nie odrywając wzroku od Toni. Wcisnął jej w dłoń kubek z szampanem i ujmując za drugą rękę, odciągnął od Keegana.

- Toni i ja pragniemy jak najszybciej założyć rodzinę - oznajmił. - Nie da się tego zrobić, jeśli ciągle nie będzie mnie w domu. - Dostrzegając protest w jej oczach, szybko zamknął jej usta pocałunkiem. - Zawsze miałem zamiar rzucić rodeo, kiedy tylko znajdę dla siebie właściwe miejsce na tym świecie.

- I właściwą kobietę - dodał Cort.

Brand wzniosł kieliszek w geście potwierdzenia, myśląc w duchu, że Cort szybko zrozumie, jak bardzo się pomylił.

Na podjeździe zatrzymał się rozklekotany bus i wysypała się z niego gromada kowbojów. Brand skinął im ręką z uśmiechem.

- Jest moja załoga.

- Jaka załoga? - zapytała Toni, chwytając go za rękaw.

- Wynająłem paru kumpli do pomocy.

- Nie zapytałeś mnie nawet o zdanie. - Dojrzał gniew w jej oczach.

- Omówiliśmy zasadnicze sprawy, a konkrety na leżą do mnie. Chłopaki zrobią wszystko, jak trzeba.

- Omówiliśmy... - prychnęła. - Dobre sobie! Powinnam być obecna przy angażowaniu ich, nie uważasz? - Jej pierś unosiła się i opadała w rytmie przyspieszonego oddechu. Ten widok tak poruszył Branda, że znów poczuł się jak sterowany hormonami nastolatek.

- Nie było żadnych rozmów, kochanie. Znamy się od lat, więc po prostu zadzwoniłem po nich. - Nic rozumiał, o co jej chodzi; przecież każda ekipa była lepsza od tej, którą Toni miała przedtem.

- A gdzie oni będą spali?

- W szopie.

- Chyba nie byłeś w szopie po wyjeździe poprzednich robotników. Jest zdewastowana. Trzeba tygodni, żeby ją doprowadzić do porządku.

Brand zaklął pod nosem.

- Dlaczego nie powiesz o tym swojemu przyjadłowi, szeryfowi, aby mógł oskarżyć ich o wandalizm?'

- Mówiłam Joshowi, ale nie możemy Matthewsowi niczego udowodnić. Weszłam do szopy dopiero po tym, jak się wynieśli.

Brand uderzył się pięścią w otwartą dłoń. Toni cofnęła się gwałtownie. Już nie pierwszy raz zdziwił go

błysk łęku w jej oczach, nie licujący ze śmiałym zachowaniem. Czego się bała?

- Toni...

- Pierwsza burza w raj? - głos Caleba brzmiał prowokująco.

Toni wkroczyła między nich, gotowa nie dopuścić do sprzeczki, lecz nagły gwar przy stole świadczył, że wniesiono weselny tort.

- Chodźmy - powiedziała, pociągając braci za sobą. - Brand i ja mamy obowiązki wobec gości.

Miałyby ochotę powiedzieć wszystkim, że ich ślub i całe to wesele jest tylko żalną mistyfikacją, ale nie zrobiła tego. Nie chciała zawieść tych miłych ludzi, zobaczyć, jak z ich radosnych twarzy znika życzliwa wesołość.

Kiedy goście zaczęli się sami bawić, Toni, korzystając z wolnej chwili, poszła do domu, żeby przebrać swoje rzeczy do pokoju Branda. Znów była w buntowniczym nastroju. Zgoda, skoro farsa ma trwać, będzie z nim mieszkać pod jednym dachem.

Ale to jest jej ranczo, jej dziedzictwo i będzie nim dalej zarządzać, kiedy ten kowboj znów zateśkni za włóczęgą. Nie wierzyła, żeby potrafił na dobre wy--ieć się rodeo.

- Pomóc ci?

Na widok Branda, opartego o framugę drzwi do jej sypialni, jęknęła i zawróciła, rozsypując ubrania.

- Przenoszę rzeczy do twojego pokoju, ale poradzę sobie.

Nie śmiała podnieść na niego oczu. Sypialnia stała

się nagle zbyt ciasna i duszna. Brand zagroził jej drogę.

- Nie wątpię, że świetnie sobie radzisz sama, ale mimo to mogę ci pomóc. - Zabrał od niej naręczę ubrań i wyszedł na korytarz.

Toni starała się uspokoić oddech. Nie ulegnie mu. Zawróciła po kolejną porcję rzeczy i skierowała się do pokoju pana domu. Brand wieszał właśnie w szafie jej rzeczy obok swoich. Toni zerknęła na szerokie łóżko, rzuciła na nie swoje brzemię i poszła z powrotem.

W sypialni oparła się bezsilnie o drzwi szafy i przymknąwszy oczy, próbowała się pozbierać. Nie potrafi udawać obojętności, kiedy każda komórka jej ciała rozpala się do czerwoności na myśl o tym, co mnąłosym kowboju. Idąc z nim do łóżka, złamała swoje zasady i teraz kusi ją, by ponownie popełnić ów grzech. Ale już dawno temu obiecała sobie, że nie da się uwikłać w związek z żadnym macho. Dość jej było własnego ojca.

- Toni?

Nie słyszała, kiedy Brand wszedł. Stał o krok od niej, z zatroskaną miną. W jego oczach dostrzegła coś dziwnego, jakby żal.

- Nie będę udawał, że nie chciałbym znów pójść z tobą do łóżka, ale nie będę cię zmuszał. - Tom próbowała się odsunąć, kiedy uniósł rękę, ale on tylko odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. Zauważył tę mimowolną reakcję. Dostrzegła jego pytające spojrzenie i czyniła sobie wyrzuty, że zdradziła się ze

swoim łękiem. Czułe dotknięcie na nowo obudziło jej zmysły.

- Było nam dobrze, Toni. - Jego głos i spojrzenie czekoladowych oczu wprawiło jej serce w szalony galop.

- Nie będę z tobą spała. - Kogo miał przekonać ten drżący głos? Branda, czy ją samą? Nieważne. Odepchnęła jego rękę. Nie poruszył się. Czuła pod palcami jego przyspieszone tętno. - To znaczy... będę z tobą spała, ale nie...

Brand uniósł delikatnie jej podbródek, tak że musiała spojrzeć mu w oczy. Kiedy powiódł kciukiem po jej dolnej wardze, poczuła, że miękną jej kolana.

- Nie próbuj mi powiedzieć, że chodzi tylko o fizyczną stronę... - Podążył wzrokiem za swoim kciukiem, a potem spojrzał jej w oczy jeszcze goręcej.

Wtedy w Vegas... to było jak trzęsienie ziemi. - Pochylił się nad nią i zatrzymał z ustami tuż przy jej wargach. - Czy jesteś ze mną, Toni?

Była z nim, wbrew rozsądkowi i obawom. Zar jego spojrzenia, dotyk jego rąk, sprawiały, że nie mogła myśleć ani oddychać. Niski, głęboki głos działał na nią hipnotyzująco i sprawiał, że czuła znów ekstazę tamtej nocy. Mimo woli rozchyliła usta. Oblała ją fala gorąca, potem zimna. Zaciśnęła dłoń na jego nadgarstku.

- Tak...

W drzwiach stanął Roy, jeden z kowbojów.

- Brand, gdzie mamy złożyć nasze narzędzie/in' 0... nie wiedziałem, że zaczynacie już miesiąc min dowy!

Klnąc cicho, Brand opuścił ręce i odsunął się od żony. Z ulgą przymknęła oczy i dziękowała w duchu za to wtargnięcie, dzięki któremu udało się jej uniknąć fatalnego błędu. Co się z nią działo? Czyżby postradała zmysły?

- Później skończymy naszą rozmowę - rzucił krótko Brand i poszedł zaprowadzić Roya do wolnego pokoju.

Brand leżał wyciągnięty na łóżku z rękami założonymi pod głowę, starając się wyglądać na całkiem zrelaksowanego. Toni już od dobrego kwadransa oku powała łazienkę. Chciałby, aby ten ceremoniał oznaaczał przygotowania do nocy poślubnej, ale sam wie działo, że się łudzi. Żona unikała go - taka była prawda. A przecież dotąd kobiety uganiały się za nim. On zaś odrzucał je, kiedy pragnęły czegoś więcej niż tylko przelotnego związku. Już od dawna nie miał nikogo na stałe. Pewnie dlatego Toni tak na niego podziałała.

Toni pragnęła odwlec pójście do łóżka. To, że Brand wyprawił wesele, o jakim inne dziewczęta mogły tylko marzyć, nie było dla niej decydującym argumentem. Obawa, że ten człowiek może jej sprawić same kłopoty, nie osłabła. W żadnym wypadku nie powinna się angażować.

Instynktownym, opiekuńczym gestem osłoniła brzuch. I tak już zaangażowała się zbyt mocno. Nie wolno posunąć się jeszcze dalej. On i tak odejdzie, a na dodatek może zabrać jej ranczo. I dziecko. Zła

mie jej życie. Nigdy więcej nie pozwoli, żeby jakkolwiek mężczyzna miał nad nią władzę.

Wstrząsnął nią dreszcz. Dawniej mogła schronić się u dziadka. Teraz nie miała dokąd uciec.

Musi trzymać się planu. Nie patrzeć na Branda, nie dopuszczać do zbliżeń. Wzięła głęboki oddech i ruszyła do wyjścia.

- Toni? - Brand zastukał do drzwi łazienki.

Odskoczyła jak oparzona.

- Tak?

- Co tam robisz tak długo?

Otworzyła, mając zamiar powiedzieć mu, że to nie jego sprawa, lecz słowa zamarły jej na ustach. Był tylko w slipkach. Włosy miał zmierzwione, jakby przed chwilą przecesał je palcami. Niesforne pasmo, to, którym bawiła się w Vegas, zsunęło się na czoło.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie. Jestem tylko bardzo śpiąca. Dobranoc. Ominęła go, zmierzając do łóżka.

- Daj spokój, to śmieszne. - Usiadł obok niej. Toni nachmurzyła się.

- Nie chciałam męża. To ty dażyłeś do ślubu. Odwróciła się do niego plecami.

Brand przeciągnął palcami po jej kręgosłupie; zeszytniała, lecz dreszcz, który nią wstrząsnął, nie umknął jego uwagi.

- No cóż, chyba rzeczywiście nic z tego nic będzie.

Spojrzała na niego przez ramię. Brand podniósł się ciężkim westchnieniem. Trudno, nie będzie jej prze-

cież błagał na klęczkach. Obszedł łóżko i wśliznął się pod kołdrę z drugiej strony. Kiedy kładł się twarzą do Toni, z głową opartą na łokciu, ich oczy spotkały się na moment. Przeciagnał czubkiem palca po jej ramieniu. Nie mógł się powstrzymać od dotykania jedwabście gładkiej skóry.

- Tyle mógłbym cię jeszcze nauczyć o miłości...

- To nie była miłość, Brand, tylko seks mający na celu prokreację. Koniec, kropka. - Zaciśnęła powieki.

Brand odwrócił się na plecy, podkładając ręce pod głowę.

- To nie takie proste, kochanie. Tam, w Vegas...

Naciągnęła kołdrę na uszy, nie chcąc słyszeć tych słów. Brand czuł, że gdyby się bardziej postarał, uległaby mu. Wolał jednak nie naciskać. Chciał mieć pewność, że Toni pragnie tego samego co on.

Toni starała się wstrzymywać oddech. Nie patrzyła na Branda i nie dotykała go, ale nie mogła nic poradzić na to, że czuje jego zapach. Ten sam zapach który rozpraszał jej myśli w łazience, teraz w ciemnościach, których nie mogła rozproszyć nikła poświata księżyca, znów ją obezwładniał. Naciągnęła przykrycie na głowę, ale sen nie chciał przyjść.

Czuła, że jej opór słabnie. W Vegas było rzeczywiście rewelacyjnie. Nie wiedziała, że mężczyzna może dokonywać takich cudów swoimi dłońmi, ustami, ciałem. Nie wiedziała, że męski głos, ponaglający ją, aby jeszcze raz dotarła na sam szczyt rozkoszy.

może być tak podniecający. Nie wiedziała, że można się kochać pośpiesznie i gorączkowo, albo czule i powoli, albo na tyle jeszcze innych sposobów.

Nie wiedziała, że mężczyzna może być tak delikatny.

Po ostatniej awanturze, jaką urządził jej ojciec, psycholog próbował ją przekonać, że nie wszyscy mężczyźni są agresywni. Wtedy myślała, że to nieprawda. Ale kto wie? Brand, nawet w gniewie, nie podniósł na nią ręki. Rozluźniła się. Na parę pięknych chwil jej dłoń spoczęła na jego piersi.

Na korytarzu zaskrzypiały drzwi od łazienki. To wstał jeden z robotników. Toni szybko cofnęła rękę. Przecież Brand jest mężczyzną. Nie można mu ufać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Toni przewróciła się na plecy. Trzeba zacząć dzień i wyślizgnąć się z łóżka, nie budząc męża.

Jej mąż. Brand pomrukiwał coś przez sen. Nagle otworzył oczy i na jego ustach odmalował się senny uśmiech. W ułamku sekundy w zamglonym spojrzeniu zrodził się płomień, a serce Toni zaczęło bić szybciej.

- Dzień dobry - powiedział zmysłowym głosem. W mózgu Toni, równoległe z dreszczem podniecenia, zapaliła się lampka alarmowa z napisem „niebezpieczeństwo**”.

- Pozwól mi wstać.... -Czy to jej głos wypowiedział bez przekonania tę prośbę?

Spróbuje odepchnąć Branda i uciec do łazienki. Za późno. Otoczył ją ramionami i nagle poczuła nad sobą jego gorący oddech; zachłanne usta musnęły jej wargi. W mózgu Toni obawa walczyła z wszechogarniającym pragnieniem dotknięcia go, pieszczona gładkiej skóry na jego karku, czucia go całym ciałem, całą sobą.

Rozległo się pukanie i przez drzwi sypialni zajrzał Wade, najmłodszy z robotników.

- Wstajesz, szefie? Czekamy na twoje polecenia. Już prawie ósma - mówił przepraszającym tonem.

Toni, zażenowana, skryła się za szerokimi plecami męża.

- Już schodzę. - Brand z westchnieniem przeniósł się na swoją połowę łóżka.

- Nie masz jakiegoś roboczego ubrania? - zapytała, widząc, że wciąga dżinsy i jedną ze swoich barwnych koszulek z wizerunkiem galopujących koni.

Wzruszył ramionami.

- To jest mój roboczy strój. Dostaję od sponsorów ubrania, buty i kapelusze; płacą mi za to, żebym je nosił. Przyzwyczaiałem się zresztą do tego stylu. Ty też się przyzwyczaisz - dodał, kierując się do łazienki. Po niedługiej chwili pojawił się z powrotem, wkładając na głowę kapelusz.

- Każę im zacząć od szopy.

Zniknął w drzwiach, a Toni rzuciła za nim poduszkę. Wcale nie chciała, żeby szopa została wyremontowana. Już dwukrotne wtargnięcie gorliwego pracownika ocaliło ją przed popełnieniem głupstwa.

Odrzuciła kołdrę i przeszła przez pokój do łazienki. Zastawiła drzwi pudłem i zaczęła ściągać koszulę, kiedy pudło, odrzucone kopnięciem, z łomotem poleciało w bok. W drzwiach stanął Brand. Toni krzyknęła, próbując zasłonić się rękami.

Niespiesznie taksował ją wzrokiem od stóp do głów, a potem wszedł do środka, zdejmując kapelusz. Starannie zamknął za sobą drzwi i przystawił je ponownie pudłem.

- Robotnicy są na zewnątrz - powiedział. Jego spojrzenie paliło jej skórę.

- Powinieneś zapukać - wyjąkała.
 - Do własnej łazienki?
 - Proszę, wyjdź. - Starła się unikać jego wzroku. Z napięciem obserwowała, jak się zbliża.
 - Spójrz na mnie - usłyszała jego głos tuż nad sobą. Czuła jego oddech we włosach. Niechętnie podniosła wzrok. Ujrzała w lustrze jego postać w ubraniu i swoją - naga. Wstrzymała oddech. Brand muskał czubkami palców jej ramię; czuła, że nie potrafi się oprzeć jego dotykowi. Lekkie skubnięcie warg za uchem przeszło ją dreszczem.

Brand objął kibić Toni i przyciągnął ją do siebie.

- Wróćmy do łóżka - szepnął.

Kontrast szorstkiej materii dżinsów z jej nagim ciałem był nieznośnie podniecający. Powieki Toni stały się ciężkie.

- Nie możemy... - Czuła, jak jej opór słabnie w miarę, jak dłonie Branda przesuwały się po biodrach i plecach, sięgając piersi. Nie była już pewna czy rzeczywiście powinna się opierać.

- Pozwól mi się z tobą kochać, Toni...

Na dole skrzypnęły drzwi.

- Brand, stoimy z robotą. Jesteś nam potrzebny.

Brand na moment przycisnął ją do siebie mocniej i pocałował.

- Masz rację. To nieodpowiednia chwila. Jadę do miasta po materiały. Potrzebujesz czegoś?

Rozpaczliwie próbowała wrócić do rzeczywistości.

- Na moim biurku leży lista zakupów. Trzeba na

prawić studnie i obsiać pastwiska, zanim pogoda się zmieni.

Na dworze rozległ się klakson. Brand włożył kapelusz na głowę.

- Zobaczymy się za parę godzin.

Opadła na krzesło. Czuła jeszcze pieśczętę jego rąk. Idiotka! Nie potrafiła opierać mu się dłużej niż pięć sekund. Wystarczyło, żeby się zbliżył. Klęska...

Toni uprzątnęła szopę i ułożyła śmieci w stertę do spalenia w kącie podwórza. Wyczyściła stajnie i nakarmiła konie. Właśnie kończyła ustawianie pułapek na myszy, kiedy powrócił Brand. Za jego samochodem jechała ciężarówka z logo firmy zaopatrującej farmy i rancza. Przywitała się z kierowcą, którego znała od dawna, a potem zajrzała na naczepę, szukając nasion, części do pomp i drutu kolczastego. Były tam jednak tylko materiały budowlane. Zajrzała więc do ciężarówki Branda, ale i tam znalazła jedynie żywność oraz paszę dla koni.

- Gdzie moje rzeczy? - zapytała poirytowanym tonem.

Brand zsunął kapelusz na tył głowy i założył kciuki za pas.

- Zajmiemy się tym, kiedy wyremontujemy szopę.

- Przecież uzgodniliśmy wszystko! Studnie i pastwiska są najważniejsze.

- Dziś rano okazało się, że to szopa jest najważniejsza - stwierdził sucho.

Toni poczuła, że się czerwieni na myśl o robotni-

kach, słuchających z zainteresowaniem tej wymiany zdań.

- Fakt, że robotnicy będą spać w szopie, niczego nie zmieni - warknęła.

- To się zobaczy, kochanie. - Brand wygiął wargi w ironicznym grymasie.

Toni poczuła nagle ochotę, aby przyłożyć mu w tę zarozumiałą gębę.

- Brand, przecież zgodziliśmy się, że trzeba najpierw naprawić studnie i ogrodzenia.

- Nie, kochanie, niczego nie uzgodniliśmy.

- Ja... ty... - Gniew odbierał jej mowę. To moje rancho, powtarzała sobie, a ten facet jest tu tylko tymczasowym inwestorem. Kiedy będzie miał dość tego odludzia i ciężkiej pracy, wróci do swojego objazdowego cyrku rodeo i stada wielbicielek. Odwróciła się na pięcie i ruszyła do domu, zdecydowana zdobyć jakoś pieniądze na pompy i ogrodzenia. Musi jeszcze raz przejrzeć księgi.

Żałowała, że dziadek nie zostawił wszystkich danych w komputerze. Na szczęście pisał bardzo wyraźnie. Tylko na ostatnich stronach charakter jego pisma stał się mniej czytelny. Zapewne choroba była przyczyną tej zmiany.

W pewnym momencie spostrzegła, że coś się nie zgadza. Księgi wykazywały wypłacenie pewnych sum z konta, przeznaczonych na materiały do remontu studni i płotów. Tylko że Brand i ona zlustrowali dokładnie całe rancho i nigdzie nie znaleźli ani pomp, ani drutów kolczastych. Gotówki również nie było.

Zatelefonowała do banku i poprosiła o rozmowę z menadżerem.

- Nadzorca pani dziadka dokonał wypłaty w jego imieniu, ponieważ pan Lander nie czuł się dobrze i nie mógł osobiście udać się do miasta.

- Czy polecenie wypłaty było podpisane przez mojego dziadka?

- Sugeruje pani, że wypłata odbyła się bez zgody pana Landera? - Głos w słuchawce w jednej chwili stał się chłodny.

- Stwierdzam tylko, panie Richards, że pieniądze zostały wypłacone na zakup sprzętu potrzebnego do prac remontowych - tymczasem ani sprzętu, ani pieniędzy nie ma, a nazwisko pana Matthews'a nie figuruje w rachunkach.

Menadżer poprosił, żeby zechciała zaczekać Toni niecierpliwie uderzała ołówkiem o blat stołu. Nie daje Matthewsowi, jeśli okradł umierającego.

- Panno Anderson, podpis nie jest... tak Wyraźny jak zazwyczaj.

- Dobrze, a jeśli został sfałszowany?

- W takim wypadku bank zwróci pieniądze i będzie ścigał fałszerza. Wyłudzenie pieniędzy podstępem jest przestępstwem. Uczynimy, co w naszej mocy, panno Anderson... - Pracownik banku wyraźnie spuścił z tonu.

Toni odłożyła słuchawkę i poszła poszukać Branda. Znalazła go w szopie, półnagiego, z pasem na narzędzia zapiętym wokół bioder. Wyglądał cholernie seksownie.

- Myślę, że już wiem, skąd Matthews miał pieniądze na nową ciężarówkę - powiedziała.

Brand wsunął młotek do szlufki w pasie.

- Pokaż.

Zaprowadziła go do gabinetu dziadka. Milcząc, pochyliła się nad księgą i pokazała palcem nabazgrałe notatki. Brand schylił się nad nią. Poczuli zapach jego potu.

- Co możemy z tym zrobić? - zapytał, nie zmieniając pozycji. Toni starała się skupić na księgach.

- W banku powiedziano mi, że zwrócą pieniądze, jeśli się okaże, że było to ich niedopatrzenie.

Brand kiwnął głową i wyprostował się.

- Dobra robota, Toni.

- Gdy tylko ta sprawa zostanie wyjaśniona, każę wyremontować studnie i kupię nasiona. - Uniosła prowokująco głowę.

Z westchnieniem przeciągnął dłonią po twarzy.

- Zajmę się tym, kotku. A pieniądze... odłóż je. bo mogą ci się przydać.

- Na co?

- Na wypadek, gdyby któregoś z nas zabrakło - stwierdził dziwnym tonem, po czym odwrócił się i wyszedł.

Toni spoglądała za nim pochmurnie. Miał rację. Jedno z nich pewnie długo nie zagrzeje tu miejsca - i z pewnością nie będzie to ona.

- Co ty, u diabła, wyrabiasz?

Młotek wyslizgnął się Toni z rąk. Wczepiła się pa-

z.nokciami w poszycie dachu, aby nie pójść w jego ślady.

- Przestań na mnie krzyżeć!

Brand stanął na szczycie drabiny.

- To nie jest robota dla ciebie. Zejdz.

- Mylisz się, kowboju. Ranczo i wszystko, co go dotyczy, jest moją sprawą. Idź zawracać głowę komu innemu!

- Zejdz na dół, proszę. - Brand ukląkł na brzegu rynny niczym maszkaron.

- Odejdz, Brand, muszę skończyć przed deszczem.

- Zejdiesz sama albo cię zniosę - powiedział spokojnie, lecz stanowczo.

Toni pomyślała, że i tak musi zejść po młotek. Kiedy zstępowała z drabiny, Brand schodził o szczebel niżej. Gdy stanęła na ziemi, nadal trzymał drabinę, aż znalazła się w kręgu jego ramion. Nie mogła mu się wymknąć. Zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Zostaw takie niebezpieczne zajęcia chłopcom. Za to im płacę - powiedział, zaciskając usta. Trwał przez chwilę w bezruchu, po czym opuścił ręce i odszedł.

Tak naprawdę o mało nie dostał ataku serca. Ta szalona dziewczyna, pomimo filigranowej budowy, brała się do typowo męskich zajęć. W pierwszym odruchu miał ochotę machnąć ręką na tę upartą babę, skoro koniecznie chce skrócić sobie kark, lecz w sumie nie mógł pozwolić, aby wykonywała tak ryzykowne prace. Nie musiała mu udowadniać, na co ją

stać. Dawno już zorientował się, że świetnie radzi sobie ze wszystkim, co dotyczy rancza. Coraz bardziej intrygowała go ta krucha kobietka, twarda jak doświadczony ujeżdżacz byków.

Nie tylko ryzykowne poczynania Toni przyspieszały rytm jego serca. W opiętych dżinsach i topie wyglądała jak marzenie. Szkoda, że nie będzie potrafił jej zatrzymać. Mogliby stanowić zgrany zespół.

Przystanął w cieniu daszku nad szopą, zastanawiając się, ile dni minęło od pamiętnego pobytu w Vegas. Kiedy będzie wiedziała, czy jest w ciąży i czy sama mu o tym powie? Czuł dziwne wzruszenie na myśl, że mógłby zostać ojcem bezbronnego maleństwa, połączone z przeświadczeniem, że zrobiłby wszystko dla jego dobra. Zdawał sobie sprawę, że dziecko potrzebuje od rodziców czegoś więcej niż tylko karmienia. Potrzebuje wiedzieć, że jest kochane, tym bardziej, jeśli jedno z rodziców odejdzie. Musi mieć poczucie, że nie jest dla nich wyłącznie obowiązkiem. Dziecko chce być przytulane. Dobrze pamiętał tę potrzebę z własnego dzieciństwa. Jego dziecku nie zabraknie czułości i pieczy.

Na widok Toni schodzącej z tylnej werandy w sukience, Brand o mało nie upuścił nowych drzwi, które właśnie montował z Royem w szopie. Nieomal zapomniał, że jego żona ma takie świetne nogi, smukłą talię i parę wspaniałych...

- Dokąd się wybierasz?

Zapach jej perfum oszałamiał zmysły, bladorożo-

wa szminka na ustach przywołała wspomnienia. Toni wyminęła go obojętnie i skierowała się do samochodu.

- Jadę do banku, żeby odzyskać pieniądze.

- Pojadę z tobą.

Zmarszczyła brwi, spoglądając na zegarek.

- Jestem umówiona na dziewiątą. Nie mam czasu ekać, aż się przebierzesz.

Brand spojrzął po sobie.

- A muszę?

Toni przez chwilę taksowała go wzrokiem.

- Dobrze, ujdzie - oceniła. - Chodźmy - powiedziała, siadając za kierownicą.

Richards, w swoim drogim garniturze i okularach w cienkich, złotych oprawkach, miał wygląd typowego bankiera. Miętko uściśnął dłoń Branda, a potem Toni, wskazał im miejsca po drugiej stronie biurka, po czym rozpoczął ugrzeczniiony monolog.

- Wróćmy do rzeczy - przerwał mu Brand w iście kowbojskim, obcesowym stylu. - Chcemy odzyskać pieniądze wraz z należnymi procentami. Proszę też wydrukować nowe чеки. Jeśli nie ma pan ochoty tego załatwić, przeniosę mój rachunek.

- Proszę się nie denerwować. Za moment przyniosę formularze. - Urzędnik ochoczo rzucił się do drzwi. Toni zrobiła wielkie oczy.

- Ale gorliwy!

- Nie łądz się. Chodzi mu wyłącznie o moje pieniądze.

Richards wrócił z kartami i formularzami

- Oto karty do rachunku Rocking A; pros/r uprzejmie tu podpisać. A te będą do nowego konta - mówił, podając inne karty. Chyba że zechcą państwo zdeponować wszystko na koncie Rocking A.

- Nie - Brand potrząsnął głową. - Założymy osobne konto.

- W takim razie musimy tylko przelać pańskie pieniądze do naszego banku i dodać podpis Toni... pani Lander.

- To ma być mój rachunek osobisty - zaznaczył natychmiast Brand.

- Naturalnie, panie Lander - odezwał się bankier po chwili krępującego milczenia - obecnie wiele młodych par zakłada osobne konta. Przepraszam, że nie zapytałem.

Po załatwieniu formalności opuścili bank. Toni wsiadła do samochodu i błyskawicznie wrzuciła bieg. Brand ledwie zdążył wskoczyć do środka. Gdy tylko wyjechała z miasta, docisnęła gaz do końca. Zastępca szeryfa wykonał niezdecydowany gest, kiedy błękitny sedan mijał go z niedozwoloną prędkością. Parę kilometrów dalej Toni zjechała na parking przed magazynem artykułów rolniczych.

- Toni, moje wynagrodzenie za rodeo to zupełnie osobna sprawa - zaczął. - Wiesz, z powodu podatków.

Wyskoczyła z wozu i ignorując go, weszła na schodki.

Dlaczego czuł się tak podle? Przecież nie zrobił nic złego. Pospieszył za nią, chwycił ją za ramię i obrócił!

ku sobie. Szarpnęła się, jakby spodziewała się ciosu. Kolejny raz zdziwił go wyraz przerażenia w jej oczach. Czyżby myślała, że on naprawdę może skrzywdzić kobietę?

- Dostaniesz tyle, ile będziesz potrzebowała na ranczo. Do diabła, w końcu przeleję na twoje konto połowę kwoty stanowiącej wartość rancza, jak tylko rzeczoznawca przyśle wycenę.

Jej oczy miotają błyskawice. Jak mógł kiedykolwiek myśleć, że ma anielską urodę? Wyglądała tak, jakoby miała ochotę go zamordować.

- Szkoda, że nie zamieściłeś na pierwszej stronie lokalnej gazety wielkiego ogłoszenia, że nie ufasz swojej żonie w sprawach finansowych. Nie mogłeś mnie już bardziej upokorzyć. To jedyny bank w mieście, Brand, miejsce spotkań mieszkańców i przekazywania sobie plotek.

Zdawało mu się, że dostrzega łzy w jej oczach, ale odwróciła się szybko i otworzyła oszklone drzwi magazynu. Podeszła do lady i pozdrowiła sprzedawcę. Pogawędziwszy z nim chwilę, podała mu listę zakupów.

- Wczoraj Brand zapomniał o tych rzeczach. Czy możesz mi to jutro dostarczyć na ranczo?

- Panie Lander - zwrócił się sprzedawca do Branda - ogrodzenie, które pan zamówił, będzie jutro. Czy mamy je dostarczyć razem z dzisiejszym zamówieniem?

Toni zmarszczyła się.

- Jakie ogrodzenie? Mówiłeś, że nie kupiłeś niczego z mojej listy.

- Zamówiłem materiał na ogrodzenie zagrody dla byków.

- Przecież stosujemy sztuczne zapłodnienie.

Brand wykonał gest, jakby dusił go kołnierzyk ko szuli. Naprawdę miał zamiar przedyskutować z nią tę sprawę, ale ciągle o tym zapominał. Zerknął na przy słuchujących się klientów i sprzedawcę, a potem mi Toni.

- Muszę budować zagrodę dla byków. Kupiłem kilka, będą dostarczone w tym tygodniu.

Toni poczerwieniała z gniewu. Otwierała i zaci skąła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mog- ła wydobyć z siebie głosu. Nie zdziwiłby się, gdyby go uderzyła.

- Rocking A jest gospodarstwem nastawionym na produkcję wołowiny.

- Wiem i wrócimy do tego, ale teraz chciałbym dać parę lekcji młodym ludziom. Może nawet udałoby mi się wyhodować kilka egzemplarzy do ujeżdżania

Toni popatrzyła na niego i bez słowa wyszła ze sklepu. Wybiegł za nią i wskoczył do samochodu; miał wrażenie, że chciałyby go zostawić. Parę kilometrów dalej zjechała na pobocze i odwróciła się do niego gwałtownie.

- Dzięki za okazane kolejny raz zaufanie - zaczę- ła wściekle. - Najpierw nająłeś robotników bez poroz- rozumienia ze mną! Potem zignorowałeś moją listę za- kupów w błędnym przekonaniu, że jeśli wyprawisz swoich kołesiów z domu, to będziesz mógł dzielić ze mną coś więcej niż materac! Poniżenie, jakim poczę-

stowałeś mnie w banku, i teraz to!!! - Uderzyła dło- nią w kierownicę. - Powiedziałaś: pół na pół. Więc kiedy, według ciebie, będzie mi wolno wtrącić się w zarządzanie moim rodzinnym ranczem?! - Jej głos wzniósł się o kilka decybeli.

- Toni...

- Wysiadaj - powiedziała spokojnym głosem, za- ciskając z całej siły palce na kierownicy.

- Co? - Brand zsunął do tyłu kapelusz i uśmiechał się. myśląc, że żartuje. Jej spojrzenie jednak mówiło co innego.

- Wynos się.

Dość już wycierpiała od ojca, który był zdania, że kobieta nic nie znaczy i nie może mieć nic do powie- dzenia. Ma być zadbana i wspierać męża w jego ka- rierze. U dziadka znalazła, co prawda, bezpieczne schronienie, ale on również uważał, że powołaniem życiowym żony jest wspieranie męża. A ona wcale nie ma na to ochoty. Sama potrzebuje wsparcia.

Gdyby nie Rusty, dawny nadzorca dziadka, nie została dopuszczona do spraw związanych z pro- wadzeniem rancza. To on pomógł jej wyzwolić się z tradycyjnej roli kobiety. Nauczył ją jeździć konno, posługiwać się lassem, strzelać, znakować bydło - praktycznie wszystkiego, co trzeba robić na ranczu. Nie odsuwał jej od żadnych zajęć tylko dlatego, że była kobietą. Traktował ją tak, jakby była jednym z pracowników. A przy okazji zaszczerpił jej coś bai dzo cennego, coś, czego rozpaczliwie jej brakowało wiarę we własne siły i umiejętności.

Jej marzeniem był zawsze powrót do Rocking A. Jeśli Brand wyobraża sobie, że ją stąd wyruguje, szybko wyprowadzi go z błędu. Gdyby nie mogła dać sobie rady, odnajdzie starego Rusty'ego. Już on będzie wiedział, jak okiełznać narowistego kowboja.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zapach dolatujący z kuchni sprawił, że Brand poczuł wilczy głód. Toni podawała lasagne, sałatę i chrupiące pieczywo. Robotnicy trochę gderali, ale nakładali sobie na talerze duże porcje.

- Cześć, kochanie. - Uchyliła się, aby uniknąć pocałunku. Brand pokręcił głową i wziął sobie talerz. Najwyraźniej nie zależało jej, żeby naprawić sytuację.

Usiadła na drugim końcu stołu i zwróciła się do robotników:

- Czy któryś z was umie prowadzić traktor? Chciałabym zacząć siew, dopóki pogoda sprzyja. Będę też wdzięczna, jeśli dwóch z was pomoże mi przy ogrodzeniach.

Dekę spojrzął ze zdziwieniem na Branda.

- Myślałem, że teraz zajmujemy się zagrodą dla byków.

- No właśnie, mieliśmy to robić, jak tylko skończymy z szopą - dodał Aaron.

Wadę wybałuszał oczy, jakby spodziewał się wybuchu. Roy silił się na wymuszony uśmiech. Toni siedziała wyprostowana, z zawziętym wyrazem twarzy.

- Toni - zaczął Brand - byki już wyjechały z Cheyenne. Potrzebuję Deke'a i Aarona do pomocy przy budowie zagrody, a Wadę i Roy będą potrzebni przy montażu.

- Świetnie. - Toni wstała i wyrzuciła swoją niekniętą porcję do śmieci. Potem spokojnie udała się do biura, zamykając za sobą drzwi.

Cztery pary oczu patrzyły na Branda.

- Jedzcie, do cholery! - warknął.

Toni opadła ciężko na skórzany fotel i oparła głowę na rękach. Brand nie ufał jej, chyba nawet jej nie lubił. Jak mogli wziąć ślub, nie mając choćby najmniejszej podstawy, na której można by cokolwiek budować. A jeśli rzeczywiście urodzi dziecko, jak wychowa je w atmosferze wojny domowej?

Sięgnęła po słuchawkę, żeby zrobić coś, czego dotychczas starała się unikać.

- Mamo...

- Dobry Boże, Toni, dziecko, gdzie jesteś? - wykrzyknęła matka i, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Spodziewaliśmy się, że przyjedziesz do domu. Jak tylko zakończysz sprawę z ranczem po dziadku. Twój ojciec już skontaktował się z pośrednikiem w sprawie sprzedaży.

Toni policzyła do dziesięciu.

- Mamo, ja zostaję tutaj, na ranczu.

- Ależ Antonio... nie dasz sobie rady sama, a poza tym chcę cię mieć przy sobie.

Toni poczuła wyrzuty sumienia. Może powinna

była zostać przy matce zamiast uciekać? Z drugiej strony psychoterapeuta przekonywał ją, że powinna wyjechać, kiedy tylko będzie mogła, nie czekając, aż w końcu sama uwierzy, że zasługuje na takie traktowanie. Pomimo to ciężko jej było zostawić matkę.

- Mamo, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że w zeszłym tygodniu wysłałam za męża.

- Jak mogłaś nie zasięgnąć najpierw opinii ojca?

Toni westchnęła; nie po to dzwoniła do matki, żeby się z nią kłócić.

- Nazywa się Brand Lander. Mogłaś widzieć jego Zdjęcie w gazecie. Jest tegorocznym mistrzem w ujeżdżaniu byków.

- Wysłałaś za mężczyznę, który zarabia na życie, ujeżdżając byki?

Dlaczego rozmowa z tą kobietą nieodmiennie przyprawiają o ból głowy?

- Posłuchaj, mamo, muszę już iść... zająć się jednym z koni; zadzwonię później. - Toni odłożyła słuchawkę, nie zważając, że matka dalej coś mówi, i ścisnęła dłońmi skronie.

Nie najlepiej to wyszło. Tego się zresztą spodziewała. Miała nadzieję, że z Rustym Jacksonem, dawnym nadzorcą dziadka, pójdzie jej lepiej.

Lodowaty pot spływał Brandowi po twarzy. Serce biło mu w potrójnym tempie. Wycofywał się powolutku, nie spuszczać oka z węża zwiniętego w kłębek pod przeciwległą ścianą boksu. Usłyszał, że ktoś wchodzi do stajni.

- Brand?

Spodziewał się, że musi dojść do konfrontacji, ale nie w takiej chwili. Powinien ostrzec Tony, ale słowa nie chciały mu przejść przez zaciśnięte gardło.

- Wyjdź.

- Co takiego?

- Waż. Wyjdź, do licha... - Starał się mówić, nie poruszając ustami. Poczuł, że Toni stoi tuż za nim.

- Jaki waż?

- Żywy. Idź już.

Wychylała się zza niego, blokując mu drogę ucieczki. Powoli unióśł ramię i spróbował ją odsunąć. Zdołał cofnąć się o krok, o dwa kroki... Toni chyła się go w pasie i zaparła się. Wyteżył siły, zaciskając szczęki. W tym momencie jego bracia popchnęliby go i wylądowałyby w bezpośredniej bliskości gada. Toni nie popchnęła go.

- Brand, to nieszkodliwy waż.

- Co to znaczy: nieszkodliwy? Ma prawie dwa metry długości! - Żałował, że w takiej chwili nie jest w stanie nacieszyć się dotykiem jej piersi na swoich plecach.

- One mieszkają w stajni i zjadają szczury.

- Toni, wiem o węzach tylko jedno: dobry waż, to martwy waż.

Nie chcąc odwracać się tyłem do gada, z Toni uczeponą swoich pleców, nie wiedział, jak wydostać się ze stajni. Przecież w żadnym wypadku nie może jej tu zostawić. Wolałby już sam narazić się na niebezpieczeństwo.

Odetchnął, kiedy uwolniła go z uścisku. Teraz będzie mógł pokazać, co potrafi. Zaczął wycofywać się ostrożnie, kiedy otworzyły się drzwi do boksu naprzeciwko i stanęła w nich Toni.

- Przełoń go w moją stronę, Brand.

- Nie ma mowy. - Ścisnęło go w gardle na myśl o tym, że mogłby ją narazić na podobne niebezpieczeństwo. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach.

- Musimy go wygonić, zanim ludzie sprowadzą z powrotem konie na noc. Wypłusz go w kierunku drzwi.

- Daj mi strzelbę albo łopatę. Mam zamiar go poszatkować.

Toni znikła z zasięgu jego wzroku, za to waż go spostrzegł. Zobaczył też otwarte drzwi. Co teraz robi?

Toni zaszła Branda od tyłu i odepchnęła łokciem. Uzbrojona jedynie w miotłę, zbliżyła się do gada, wypłoszyła go na zewnątrz i zamknęła drzwi od boku. Czy oszalała, żeby się tak narażać? Schwyciła ją za ramiona i przyparł do ściany.

- Czyś ty postradała zmysły?

Z rozszerzonymi ze strachu oczami Toni wyrwała się. Jak to jest, że nie boi się węża, a trzęsie się, gdy jest już po wszystkim?

- To był waż. Ogromny. Mógł cię ukąsić.

- Ten gatunek nie kąsa.

Puścił ją, ale nadal pozostała nieufna.

- W naszej spiżarni aż roi się od myszy. Przydałoby się z tuzin takich węży. Miałam do czynienia z węskami.

Brand poczuł, że robi mu się niedobrze.

- Brałaś je do ręki?

Wzruszyła ramionami i odsunęła się nieco.

- Na tym polega moja praca. Specjalizowałam się co prawda w dużych zwierzętach, ale uczyłam się o wszystkich. Pracowałam poza tym u weterynarza, który leczył małe zwierzęta, również gady.

Brand wzdrygnął się. Rozwiewał się obraz Toni jako delikatnej istotki; kobieta, która radzi sobie z węzami, poradzi sobie ze wszystkim. Tylko czemu drżała...?

- Dlaczego boisz się węży? - zapytała.

Poczuł, jak szczątki jego męskiego ego kurczą się i giną. Włożył ręce do kieszeni i odwrócił się. Miał ochotę splunąć, zakląć albo zrobić inną z tych obrzydliwych rzeczy, które mężczyzna robi, by pokazać, że nie jest mięczakiem. Nic takiego jednak nie zrobił. Miał wrażenie, że Toni nie da się oszukać.

- Masz na myśli: dlaczego jestem tchórzem?

- Nie miałam tego na myśli, Brand. Wielu ludzi boi się węży, ale u ciebie to coś więcej.

Brand zgarnął butem leżące na ziemi wióry, a potem z powrotem je rozrzucił. Toni czekała cierpliwie. Wreszcie, widząc że musi jej wszystko opowiedzieć, oparł się o ścianę boksu.

- Kiedy miałem sześć lat, mój najlepszy przyjaciel i ja pływaliśmy w potoku. Wiedzieliśmy, że nie powinniśmy kapać się po dużym deszczu, a jednak zrobiliśmy to. Przyjaciel dostał się do gniazda węży i został pokąsany. Zmarł tam, na brzegu...

Stanął mu przed oczami obraz pokąsanego ciała Dana, tak wyrazisty, jakby to było wczoraj. Ciągłe widział, jak jego najlepszy przyjaciel walczy o ostatni oddech. Wstrząsnął nim dreszcz.

Toni objęła go w pasie i przytuliła. Przytuliła go! Pragnął czułości dla swojego dziecka, ale kiedy sam Jej doznawał, nie wiedział, jak się zachować. Odchrząknął, zakłopotany. Spróbował również ją objąć. Dobrze było tak stać w półmroku stajni, w ramionach żony.

- Od tej pory... nie lubię węży. Moi bracia wiedzieli o tym i przy każdej okazji straszili mnie. Gdy tylko znaleźli gdzieś węża, podrzucali mi go - do butów, do pudełka z drugim śniadaniem, do toalety. Patryka ukąsił grzechotnik, którego próbował złapać, żeby mnie straszyc. Ledwo z tego wyszedł.

Toni wzięła głęboki oddech i przytuliła go mocniej.

- To straszne. Dlaczego tak robili?

- Bracia lubią sobie w ten sposób dokuczać dla zabawy. - Brand wzruszył ramionami.

Spodziewał się raczej wyśmiania, nie współczucia. Czy ona już zawsze będzie go zaskakiwać? Brand przyglądał się swoim butom.

- Toni, przepraszam, że sprawiłem ci dzisiaj przykrość w banku. Powinienem był powiedzieć ci wcześniej, że chcę osobno prowadzić interesy związane z rodeo.

Jej spojrzenie znów stało się zimne. Odsunęła się od niego.

- Pokazałeś, że mi nie ufasz, Brand. Nie winię cię za to. Znamy się dopiero od niecałych dwóch tygodni. W dodatku na samym początku nie pokazałam ci się z najlepszej strony. Ale nie spodziewaj się po mnie niczego więcej niż to, co ty sam mi ofiarujesz.

Patrzył, jak wychodzi i kieruje się do szopy. Po zwoli jej popracować z Royem; potrzebowała czasu, żeby ochłonać. Może do wieczora uda mu się znaleźć odpowiednie słowa, żeby wszystko jej wytłumaczyć.

Jednego był pewien. Następnym razem, kiedy Toni się do niego przytuli, nie będzie próbował niczego wyjaśniać, tylko ją pocałuje.

Toni przytrzymała urny walkę przy ścianie, podczas gdy Roy mocował pod spodem kawałek run. Remont szopy był prawie skończony.

- To jak go złapałaś? - pytanie Roya sprawiło, że o mało nie spuściła mu umywalki na głowę.

- Kogo?

Dokręciwszy syfon, podniósł się ciężko.

- Jak złapałaś Branda? Nigdy nie uganiał się za spółniczkami, zwłaszcza w sezonie zawodów.

- Sama nie wiem. Tak się zdarzyło...

- Nie mamy przed sobą sekretów, a jednak nikt o tobie nie wiedział, z wyjątkiem Bobby'ego Lee. - Zaczął składać narzędzia. - Nigdy nie myślałem, że on się kiedykolwiek ożeni. Chodził przez ostatnich parę lat z taką jedną Megan z Coyote Western Wear, wiesz, jednego z naszych sponsorów, ale to nie było

nic poważnego... - Jego oczy spotkały wzrok Toni - ...aż tu nagle dowiadujemy się, że się ożenił.

Niespodziewanie zazdrość odjęła jej mowę. Nie ma przecież prawa być zazdrosną o to, co było przed Vegas - a jednak sprawiała jej przykrość myśl o Brandzie i innej kobiecie.

- Miewał dziewczyny? - Starła się, żeby jej głos brzmiał obojętnie.

Roy zatrzasnął pudło z narzędziami i wyprostował się, patrząc jej w oczy.

- Z tego co wiem, miewał. - Poklepał ją po ramieniu poufałym gestem. - Nie masz się czym martwić, skoro właśnie z tobą zdecydował się ożenić. To porządny facet. No, leczę, muszę pomóc chłopcom.

- Jasne, nie ma się czym martwić - Toni uśmiechnęła się z przymusem i usiadła na brzegu łóżka, które Aaron i Dekę zbili dziś rano. Jej mąż jeszcze niedawno spał z inną. Pewnie tym bardziej będzie chciał sprzedać swoją część rancza i wrócić do tamtej.

Usłyszała pukanie. Brand wszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Był to długi i nieprzyjemny dzień, poczynając od porannego incydentu, a na ostatnich rewelacjach na temat Branda kończąc. Do tego trzeba dodać rozmowę z matką i scenę w stajni; nie miała już siły na dalsze konfrontacje. Pragnęła jedynie, żeby ją zostawiono w spokoju.

Odwróciła się. Po chwili usłyszała, jak zamykają się drzwi łazienki. Była zła na Branda, a jeszcze bar-

dziej na siebie samą. Pracownicy tyle jej naopowiadali o jego wspaniałomyślności. Szkoda, że nie wiedziała tego wcześniej, zanim poszła z nim do łóżka. Jeśli szukała mężczyzny, którego nie będzie obchodziło, czy ma dziecko czy nie, trafiła jak najgorzej. Nie zamierzała polubić człowieka, za którego wyjdzie, ale było już za późno. Brand Lander okazał się naprawdę świetnym facetem i nie zasługiwał na to, co mu zrobiła.

W łazience ucichnęło i otworzyły się drzwi. Toni odwróciła się do Branda.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że tą pracą za pewniłeś chleb licznej rodzinie Aarona i Deke'a? I że Roy próbuje wyjść z alkoholizmu i dlatego dałeś mu pracę i dach nad głową?

Brand wycierał twarz ręcznikiem.

- To moi kumple. Toni. Staram się im pomóc, jak tylko mogę.

- A Wade? Opowiadał mi, że jego starszy brat go bił, dlatego uciekł z domu, gdy tylko skończył osiemnaście lat, i wtedy spotkał ciebie. Jesteś dla niego wzorem do naśladowania. Zrobi wszystko, żeby zdobyć twoje uznanie.

- Dobry z niego towarzysz podróży. - Brand wzruszył ramionami.

- Dlaczego po prostu nie powiedziałeś mi o tym wszystkim? Uważałeś, że nie zrozumiem? Pomogłabym ci... - Wyciągnęła do niego rękę, ale szybko ją opuściła. - Ładnie postąpiłeś, Brand.

Odwróciła się do okna i patrzyła na swoje odbicie

w ciemnej szybie. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby zapomnieć o nocy w Vegas. Próbowała przypisywać ten nagły przypływ namiętności hormonom i alkoholowi, wiedząc, że i tak siebie nie przekona. Brand Lander od pierwszych chwil miał na nią niemal hipnotyczny wpływ. Wspomnienie dotyku jego szorstkich palców na skórze nawiedzało ją w najbardziej niespodziewanych momentach. W ramionach tego mężczyzny czuła się prawdziwą kobietą - mądrą i piękną, a nie zimną i wyrachowaną.

Drgnęła, czując delikatne dotknięcie na ramieniu. Z trudem powstrzymała chęć przytulenia się do niego.

- Nie umiem być mężem, ale staram się tego nauczyć - szepnął, poruszając swoim oddechem delikatne włoski na jej karku.

Toni czuła, jak w jej ciele rozchodzi się fala gorąca.

- Seks niczego nie rozwiąże - szepnęła. Tylko... było jej z nim tak dobrze!

Brand odwrócił ją twarzą ku sobie.

- Nawet jeśli nie, powinniśmy od czegoś zacząć, Toni. Musimy mieć coś wspólnego, co by nas łączyło.

- Delikatnym ruchem objął jej kibić, muskając ustami czoło, włosy, oczy.

Nie powinna ulegać temu szaleństwu. On przecież odejdzie. Ale nagle przestało to być ważne. Liczyło się tylko tu i teraz.

Brand skubnął delikatnie zębami koniuszek jej ucha. Toni wstrzymała oddech. Kiedy pieścił językiem wygięcie jej szyi, wyczuwał przyspieszone tętno. Ogarnęła ją tak przemożna słabość, iż, odchylając

głowę do tyłu, wczepiła się palcami w jego ramię, czując, że za chwilę osunie się na podłogę.

- Nie będę się dzielić - szepnęła, próbując przywołać resztki zdrowego rozsądku.

Brand odsunął się zaskoczony.

- Dzielić? Czym?

- Tobą.

- Nie będziesz musiała.

Toni nie potrafiła dłużej opierać się pożądanemu; niecierpliwymi palcami zaczęła rozpinać mu koszulę.

- Spokojnie, kochanie, mamy całą noc - powiedział. Jego dłoń wędrowała w górę pod jej koszulą. Delikatne dotknięcie nagich sutków szorstkimi palcami sprawiło, że Toni jęknęła z rozkoszy.

Brand ściągnął jej koszulę, uniósł Toni w ramionach i położył na łóżku. Ukłękł i zaczął rozgarniać palcami jej włosy, układając je wokół głowy.

- Taką cię widzę, kiedy w nocy zamykam oczy.

Całował ją długo i powoli, delektując się miękkością jej ust. Toni chciwie przyłgnęła do jego gorącego brzucha, wyczuwając gotowość.

- Nie ponagljaj mnie, kochanie - wyszeptał urywanym głosem.

Pochylił głowę i pieścił jej sutki koniuszkiem języka. Toni z jękiem wczepiła mu palce we włosy. Kiedy powędrował w dół, ku wewnętrznej stronie jej ud, poczuła, że traci kontrolę nad sobą.

- Rozbierz mnie - nakazał.

Uświadomiła sobie, że cały czas miał na sobie dżinsy i buty. Przez chwilę zawstydziała się własnej nago-

ści, ale kolejny pocałunek sprawił, że zapragnęła jak najszybciej mieć go przy sobie nagiego. Spróbowała ściągnąć mu but.

- W ten sposób nie dasz rady, stań w nogach łóżka - pouczył ją Brand. - Teraz odwróć się.

Zawahała się przez chwilę, potem zrobiła to, o co prosił. W lustrze szafy zobaczyła tę samą nieznajomą, rozpustną kobietę co w Vegas - z rozwichrzonymi włosami i błyszczącymi oczami. Na jej szyi, pierśsiach, udach widniały czerwone ślady. Dwie opalone męskie dłonie obejmowały ją w pasie.

- A teraz pochyl się i ciągnij - powiedział, wkładając jej but między nogi.

Kiedy zdjęła mu oba buty, chciała się odwrócić, lecz przytrzymał ją za biodra. Poczuła na skórze ciepło jego oddechu i pieszczotę pocałunków. Pociągnął ją do tyłu i nagle uczuła w sobie jego męskość.

W lustrze widziała jego twarz z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi szczękami; gorący oddech palił jej skórę.

Brand otworzył oczy i odrzuciwszy włosy Toni na bok, przyssał się ustami do jej karku. W lustrze widziała ciemne dłonie obejmujące białe piersi, ścisiskające w palcach brodawki. Potem jego ręce powędrowały niżej. Gdy rozchylił jej uda, poczuła się odsłonięta, bezbronna i zdana na jego łaskę. A jednak nie bała się.

Unosiła się i opadała w zmysłowym rytmie. Wielka, silna dłoń pieściła najintymniejszy zakątek jej

ciała. Nie mogła oderwać wzroku od lustra, zafascynowana podniecającym spektaklem.

Nagle zobaczyła, jak mięśnie Branda napinają się. Przesunęła paznokciami po jego udach, a on, wydając z siebie cichy jęk, wygiął się i ugryzł ją lekko w kark. Na jego twarzy pojawił się dziwny skurcz.

Niepowstrzymany płomień ogarnął Toni od stóp do głów. Szarpnęła się, wyginając do tyłu, a Brand przyciągnął ją mocno do siebie. Kiedy szeptał jej imię, poczuła jego ekstazę.

Nawet w chwili uniesienia nie zapomniał się do tego stopnia, żeby sprawić mi ból, pomyślała.

Oba serca wolno wracały do normalnego rytmu. Toni była obolała. Kiedy przytuleni do siebie opadli bezwładnie na łóżko, ciągle patrzyła w lustro. Jak mogła tak się zapomnieć w ramionach mężczyzny? Jeśli czegoś przy nim się bała, to tego, żeby się nie zakochać.

Brand leżał z głową na jej ramieniu, a pierś wznosiła mu się i opadała. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Uśmiechnął się sennie i odgarnął Toni zmierzwiłone włosy z oczu.

- Kochanie, jeśli będziemy choć po części tak dobrze sobie radzić na ranczu jak w łóżku, to doczekamy się najlepszego gospodarstwa w kraju - stwierdził z nieukrywana satysfakcją.

Toni uśmiechnęła się smutno. To nie takie proste. Cóż, że znalazła wreszcie mężczyznę, któremu mogła zaufać, że nie zrobi jej krzywdy? Ciągle nie ma pewności, czy nie pozbawi jej w końcu tego, co dla niej najcenniejsze - rancza.

- Jestem z tobą, Toni. - Wyczuła w jego głosie, że nie chodzi mu tylko o fizyczną bliskość. - Damy sobie radę, nie wiem jeszcze jak, ale damy radę. - Usiadł na krawędzi łóżka, uniósł ją i postawił między swoimi udami na ziemi, twarzą do siebie. Jego oczy patrzyły na nią z powagą. - Pomogę ci urządzić tu wszystko tak, jak chcesz, ale musisz ze mną współdziałać, a nie stać się przeciwko mnie. - Jego palec wędrował w dół z jej obojczyka ku brodawce piersi.

- Trudno z tobą współpracować, skoro nikomu nie opowiadasz, co zamierzasz zrobić - odpowiedziała, z trudem znajdując słowa.

- Jutro, gdy tylko pošlemy chłopaków do robót, usiądziemy razem i porozmawiamy. Zagroda dla byków może poczekać do popołudnia.

Toni wzdygnęła się na wspomnienie rodeo.

- Nie lubię byków.

- Mogę zrezygnować z zawodów, Toni, ale nie przekreślę całego mojego dotychczasowego życia - powiedział z naciskiem. - Nauczyłem się masę rzeczy i chciałbym przekazać je młodszemu.

Toni pomyślała, że mają różne cele. Ukończenie szkoły weterynaryjnej miało być środkiem do zrealizowania jej życiowego celu - bycia niezależną.

- Kiedy będziesz wiedziała? - Brand musnął dłonią jej podbrzusze.

- Myślę, że za tydzień.

- Chcę, żebyś mnie natychmiast zawiadomiła - powiedział, patrząc jej w oczy.

Toni poczuła, że myśl o tym, iż może nosić dziecko Branda i na całe życie związać się z tym mężczyzną, nie przerażała jej już tak jak kiedyś.

- Dobrze - powiedziała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Brand usłyszał z daleka nadjeżdżającą ciężarówkę. Pracował z pomocnikami przy ogrodzeniu wybiegu dla byków. Toni stała na dachu stajni, który postanowiła sama pokryć na nowo gontem. Brand nie zdołał jej w tym przeszkodzić.

El Camino, stary zardzewiały gruchot, zatrzymał się przed ogrodzeniem z głośnym wystrzałem z rury wydechowej. Rozległ się pisk Toni i Brand, z sercem podchodzącym do gardła, rzucił się ku stajni. Bał się, że spada z dachu, a tymczasem zobaczył, jak ześlizguje się ze szczytu, zeskakuje na złamanie karku z drabiny i pędzi przez podwórze, aby rzucić się na szyję kierowcy ciężarówki.

Beau, który zazwyczaj nie poruszał się szybciej niż ślimak, wypadł ze stajni, wyjął, jakby go obdzierali ze skóry, i puścił się jak strzała ku nowo przybytemu.

Z ciężarówki wysiadł, śmiejąc się tubalnie, mężczyzna o wyglądzie świętego Mikołaja. Toni objęła ramionami jego potężny brzuch i uściskała go, a Beau wił się i podskakiwał u ich stóp jak rozbrykany szczeniak.

Brand odłożył narzędzia i skierował się ku nim.

Jasnoblękitne oczy przybysza posłały Brandowi

ostrzeżenie. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej mężczyzna prostował plecy i wypinał pierś.

- To ten?

Kiedy Toni potwierdziła, „święty” stanął w całej swojej potężnej okazałości naprzeciw Branda, obrzucając go wściekłym spojrzeniem.

- To ty pozwalałeś sobie denerwować moją dziewczynkę?

- Mówisz o mojej żonie? - odwarknął Brand.

Toni wcisnęła się między nich.

- Rusty, to jest Brand Lander. Brand, oto Rusty, dawny nadzorca mojego dziadka.

Toni obdarzyła starego druha uśmiechem pełnym miłości. Brand poczuł ukłucie w sercu. Do niego nigdy tak się nie uśmiechała. Nawet po ostatniej nocy.

- Brand, Rusty przyjechał pomóc nam doprowadzić rancho do porządku. - Znacząco ścisnęła go za ramię. Jej spojrzenie powiedziało mu, jak ważna była dla niej jego odpowiedź.

- Zatrudniłeś go jako nadzorcę?

- Tak.

- Witaj. - Brand, trochę wbrew sobie, wyciągnął rękę do starszego mężczyzny.

- Dzięki. - Rusty wyraźnie się rozluźnił.

- Dziś rano pracownicy dokończyli remont szopy. Chodźmy zanieść tam twoje rzeczy.

Toni wynagrodziła go uśmiechem. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- W porządku?

Uścisnęła go, a potem zasalutowała, stukając obcasami.

- Tak jest.

Była ożywiona i uszczęśliwiona. Brand zdjął walizkę z pudła ciężarówki i poprowadził Rusty'ego do szopy. Toni podażyła za nimi.

- Wybierz sobie łóżko.

- Toni nie mówiła ci o mnie? - Pomimo zewnętrznej szorstkości, z głosu Rusty'ego przebijała niepewność.

- Jeszcze nie - uprzedziła odpowiedź Branda.

- Potrafię jeszcze pracować. A tego, czego nie mogę już sam zrobić, potrafię nauczyć młodszych. Jestem stary, ale mam sporo doświadczenia.

- Praca na ranchu nie należy do najłżejszych - rzekł Brand i pokiwiał głową.

- Tak - przyznał Rusty - za to praca w supermarkecie nie należy do najciekawszych.

Toni poklepała go po ramieniu. Brand pomyślał, że Rusty jest w wieku jego ojca. Nie wyobrażał sobie, żeby tato mógł żyć z dala od rancha.

- Mów mi po imieniu. Zostawimy cię teraz, żebyś się mógł rozgościć. - Brand ujął Toni za rękę i wyprowadził ją na zewnątrz.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy już znaleźli się w domu - powinnam była ci powiedzieć, ale po tym, co stało się w banku... po prostu pragnęłam mieć w kimś oparcie.

Brand przyciągnął ją do siebie. Najwyraźniej Rusty potrzebował tej pracy tak samo, jak ona potrzebowała jego wsparcia.

- W przyszłości razem będziemy przyjmować pracowników, dobrze? A teraz chodźmy poznać nadzorcę z jego ludźmi i wydać im polecenia.

Toni pochylała się nad filiżanką kawy, licząc, że mocny napar postawi ją na nogi. Choć przespała całe osiem godzin, powieki opadały jej ciężko. Usta miała lekko obrzmiałe. Patrząc na bujne loki opadające jej na ramiona, Brand czuł jeszcze ich dotyk na swojej piersi. Wyglądała jeszcze bardziej seksownie niż zwykle. Znow jej zapragnął. Co takiego mu zrobiła, że zapominał o całym świecie? Marzył, by porwać swą żonę w ramiona i zanieść ją z powrotem na górę, do sypialni.

Naturalnie, Toni miała inne plany. Wyciągnęła go z łóżka, żeby porozmawiał z Rustym.

- Rusty, ty wiesz wszystko o tej ziemi. Chcielibyśmy, żebyś nam doradził. Wiesz, że mamy do ciebie pełne zaufanie.

- Dziewczyno, czy myślisz, że jeśli nosiłem cię kiedyś na rękach, to teraz pozwolę ci na wszystko, nawet na zmarnowanie rancza?

- Studiowałam genetykę w szkole weterynaryjnej z zamiarem wyhodowania odmiany bydła dającej mięso chudsze niż ta, którą miał mój dziadek. Rocking A zawsze było gospodarstwem nastawionym na produkcję wołowiny.

- Zgadza się - odparł Rusty.

Brand słuchał niechętnie. To, co proponowała Toni, zajmie wiele lat skomplikowanych zabiegów. Nie są-

dził, żeby zechciała pozostać tu tak długo, zaś on sam nic miał ani odpowiednich kwalifikacji, ani też chęci, żeby przejąć po niej to zadanie.

- Ceny wołowiny ciągle spadają, a rodeo jest obecnie popularne jak nigdy. Korzystniej będzie zająć się hodowlą byków. Popyt na nie rośnie. Myślę też o otwarciu szkoły ujeżdżania i w związku z tym będę potrzebował miejsca na arenę. Żeby zbudować drogi dojazdowe, trzeba będzie uszczknąć trochę terenu z pastwisk.

- Będziesz pewnie musiał sam demonstrować ujeżdżanie? - Wydało mu się, że głos i spojrzenie Toni wyrażały autentyczną troskę. Nie zdarzyło się, aby ktoś z jego rodziny, z wyjątkiem Corta, martwił się o to, w jak niebezpieczny sposób zarabia dla nich pieniądze. Spróbował wziąć ją za rękę. - To moja praca, Toni. Jestem w tym dobry.

Wyrwała mu dłoń i wstała.

- Nieważne, jak jesteś dobry, Brand. Wypadki się zdarzają, zwłaszcza z takimi nieobliczalnymi bestiami. Możesz zostać okaleczony albo... gorzej. Czy chcesz, żeby twoje dziecko nie miało ojca?

- Przecież jeszcze nie wiemy...

- Nie mamy też pewności, że go nie ma.

Rusty, przysłuchujący się uważnie ich rozmowie, uniósł rękę uspokajającym gestem.

- Nie każdy musi zachowywać się tak nieostrożnie jak Josh Keegan, Toni. Chłopak został nieomal strącony jakieś dziesięć lat temu - zwrócił się do Branda. - Nie myślałem, że się wylize. Będziesz musiał

obietac jej, że zatrudnisz poskramiaczy byków, be-
dziesz nosił ubrania ochronne i nie zaryzykujesz be/
potrzeby.

- Będę ostrożny - potwierdził Brand ze spojrze-
niem utkwionym w oczach żony.

- Panienko - Rusty pogroził Toni palcem - nic mi
nie powiedziałaś, że możesz mieć dziecko. Jeśli tak
to koniec z łożeniem po dachach.

Toni prychnęła. Brand usiadł, zadowolony, pozwa-
lając staremu mówić dalej.

- A co do ciebie, kowboju - usłyszał - powinieneś
mieć dość pieniędzy zarówno na przedsięwzięcie To-
ni, jak i na swoje byki. Ziemi w Rocking A wy-
starczy.

Toni uśmiechnęła się. Tak lubił ten uśmiech, który
zapalał iskiarki w jej oczach i przydawał sprężystości
krokom. Rozum mówił mu, że powinien się nie przy-
wiązywać, ale serce nie chciało słuchać. Ciągłe wy-
obrażał sobie ich wspólną pracę na ranczu, ich dzieci.
Wiedział, że prędzej czy później rzeczywistość spro-
wadzi go na ziemię.

Z policzkiem opartym o sztachety Toni zastana-
wiała się, dlaczego Brand ożenił się z nią, choć wy-
starczyło poczekać parę tygodni, aby przekonać się,
czy rzeczywiście jest w ciąży. Dotychczas łudziła się,
że rodzi się między nimi coś, co warto będzie pielę-
nować. Przekonała się jednak, że zależy mu jedynie
na dziecku. To ze względu na nie zabraniał jej cho-
dzenia po dachu, jazdy konnej czy zbliżania się do

byków. Z dnia na dzień lista zakazów wydłużała się
irytująco.

Co będzie, jeśli okaże się, że nie jest w ciąży? Czy
Brand odejdzie? Dlaczego na myśl o tym coś ścisnęło
ją w gardle? Przecież chodziło jej tylko o ranczo.

Odsunęła się od ogrodzenia. Czy jej się to podoba
czy nie, byki lada moment tu będą i trzeba wszystko
przygotować.

Ledwie zdążyła napełnić wodą koryta, kiedy na
podjazd zajęchała ciężarówka Branda, ciągnąc za so-
bą długą przyczepę. Tuż za nią jechał drugi samo-
chód. Toni otworzyła bramę zagrody i patrzyła z nie-
pokojem, jak Brand podjeżdża tyłem do ogrodzenia.
Zaglądając przez żelazne sztaby, ujrzała cętkowanego
byka umieszczonego w jej przedniej części, a z tyłu
drugiego, ogromnego i czarnego. Parsknął jej
w twarz i z łomotem napał na sztachety. Toni odsko-
czyła. Zawsze bała się byków, szczególnie od czasu
wypadku Josha.

Brand odbezpieczył platformę z jednej strony. Toni
zaciśnęła palce na metalowej bramie. Wiedziała, że
powinna mu pomóc, ale nogi odmawiały jej posłu-
szeństwa. Przed oczami miała obraz Josha wylatują-
cego w powietrze, widziała na ziemi plamę krwi. Na-
gle obraz rozmył się i zamiast Josha ujrzała Branda.

Zanim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, zoba-
czyła Craiga Stevensa, miejscowego weterynarza,
który otwierał już platformę z jej strony.

- Cześć, Toni. Wpadłem na Branda w mieście
i przyjechałem obejrzeć te bestie, ale zanim odjadę.

muszę porozmawiać z tobą. - Doktor obejrzał się na niespokojne zwierzęta w przyczepie. - Gotowe! - krzyknął.

Z przyczepy wyskoczył, wierzgając, czarny byk. Toni krzyknęła, a byk, usłyszawszy głos, ruszył ku niej. Brama zadrżała od potężnego kopnięcia. Toni odrzucona siłą uderzenia, upadła na plecy.

Zanim zdążyła złapać oddech, Brand już klęczał nad nią.

- Nic ci się nie stało?

Kiedy próbowała skinać głową, poczuła przeszywający ból.

- Nie ruszaj się. - Delikatnie głaskał ją po głowie, po czym ujął jej twarz w dłonie. - Powiedz, gdzie cię boli.

- Wszystko w porządku... tylko brak mi tchu...

- Otarła skroń i na jej dłoni została smuga krwi.

- Przyniosę z ciężarówki materiały opatrunkowe!

- zawołał doktor Stevens.

Brand jedną ręką przyciskał Toni chustkę do czoła, drugą sięgnął do jej brzucha.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Miała wrażenie, jakby przeszły ją lodowate ostrze. Ból w głowie był niczym w porównaniu z bólem, jaki trawił jej serce. Jego niepokój odnosił się do dziecka, którego być może wcale nie ma. Zła na siebie, że tak mylnie odczytała uczucia Branda, odtrąciła jego rękę i wstała.

- Coś ci się stało, dziewczyno? - zapytał z niepokojem Rusty.

- Nic mi nie jest. - Spojrzenie starego mówiło dobitnie, że nie uda się jej go oszukać. Rozprostowała się ostrożnie. - Dostałam bramą w żebra. Myślę, że to tylko stłuczenie.

Brand podtrzymywał ją w pasie.

- To było bardzo silne uderzenie. Zwaliło ją z nóg. Potrzebny jest lekarz. Chodźmy.

- Brand, proszę, nie szalej.

Bez słowa wzięła ją na ręce i zaniósł do samochodu.

- Przestań się spierać. I tak pojedziesz do szpitala.

Wyraz jego pobladłej twarzy i szczerą troską w oczach sprawiły, że nie próbowała więcej protestować. Brand pochylił się nad nią i zapiął jej pas.

- Zaraz opuszczę twój fotel - powiedział.

Delikatnie zdjął przesiąkniętą krwią chustkę z czoła Toni i obejrzał ranę. Kiedy przemywał ją wacikiem podanym przez doktora Stevensa, trzęsły mu się ręce.

- Przepraszam, ale nie chcę dopuścić do infekcji - powiedział, widząc, że sprawia jej ból. Przyłożył do rany opatrunek gazowy i poprosił, żeby przyciskała go ręką.

- Jak się czujesz, Toni? - zapytał weterynarz, kiedy Brand usiadł za kierownicą.

- Jestem tylko trochę poobijana.

- To dobrze. Przyjechałem tu, bo potrzebuję pomocnika do czasu, aż mój chłopak skończy szkołę w czerwcu.

- Nie - odezwał się Brand znad kierownicy.

Toni szarpnęła głową w jego stronę, powodując nowy przypływ bólu.

- On pyta mnie.
 - A ty nie będziesz się już więcej narażać na żadne ryzyko.
 - Zadzwoń w przyszłym tygodniu - zwróciła się do weterynarza.
- Nie pozwoli, żeby cokolwiek jej narzucano.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pielęgniarka zaprowadziła Toni do małego pomieszczenia, osłoniętego parawanami. Tam lekarka zbadała ją dokładnie, zadając dziesiątki pytań, często bardzo osobistych. Było to niezwykle kłopotliwe, zważywszy na obecność Branda u jej boku oraz fakt, że od sąsiednich łóżek dzieliło ją niecałe dwa metry odległości i cienka zasłona.

- Czy istnieje możliwość, że jest pani w ciąży?
- zapytała lekarka.
- Tak - natychmiast odpowiedział Brand.
- Od jak dawna?
- Od dwóch tygodni - znów pierwszy pośpieszył z odpowiedzią.
- Kiedy była ostatnia miesiączka? - kobieta zwróciła się do Toni, która czerwieniąc się, podała datę.
- Jest dopiero parę dni spóźnienia, jeszcze nie robiłam testu.
- Czas już go zrobić. Będzie wtedy wiadomo, czy można panią bezpiecznie prześwietlać. Muszę wykluczyć pęknięcie żebra i wstrząs mózgu.

Tym razem Brand nie pośpieszył z odpowiedzią. Toni widziała, jak z trudem przełyka ślinę i zaciska

dłonie na poręczy łóżka. W jego oczach malowała się panika, która narastała też w niej.

- Więc jak, pani Lander? - ponaglała lekarka.

- Dobrze - wydusiła Toni. Co zrobi Brand, jeśli okaże się, że ona wcale nie jest w ciąży?

Lekarka opatrzyła skaleczenie, po czym odeszła. Brand wcisnął ręce w kieszenie i odwrócił się tyłem.

- Wygrałaś. Odeślę byki z powrotem.

Serce Toni zamarło z wrażenia. Nie znała dotąd mężczyzny, który byłby skłonny cokolwiek dla niej poświęcić.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego byki są dla ciebie takie ważne.

- Z powodu obietnicy.

- Jakiej obietnicy?

- Dawno temu spotkałem pewnego starego ujeżdżacza, który, widząc, jak bardzo pragnę wygrać, podjął się mnie uczyć. Wiedział, że nie stać mnie na opłacanie lekcji, więc robił to za darmo. Musiałem mu jedynie obiecać, że spłacę kiedyś ten dług, robiąc dla jakiegoś dzieciaka to samo, co on zrobił dla mnie.

- Toni wstrzymała oddech, widząc głęboki smutek w jego oczach. - Co roku po sezonie pracowałem jako wolontariusz na jego ranczu, ucząc młodzież tego, czego on nauczył kiedyś mnie. Ale zeszłej wiosny miał udar i jest w bardzo złym stanie. Jego żona sprzedała ranczo; gdybym wiedział, że ma taki zamiar, natychmiast bym je kupił.

- W takiej sytuacji odesłanie byków nie będzie

słusznym posunięciem. Szkoda, że nie powiedziałaś mi wszystkiego wcześniej, Brand.

- Nie chcę, żeby znów coś ci się stało - odpowiedział, patrząc jej w oczy.

Chodziło mu o nią, czy o dziecko? Toni próbowała znaleźć odpowiedź w jego spojrzeniu.

- To wszystko przez mój głupi błąd. Byłam za mało ostrożna.

Brand spacerował po małym pomieszczeniu. Ból w głowie i łydce Toni stępił, a żebra bolały jedynie przy oddechu.

- Brand, usiądź koło mnie i opowiedz, jak to się stało, że w ogóle zająłeś się ujeżdżaniem.

Zawahał się przez chwilę, po czym usiadł na krześle obok łóżka.

- Trochę jeździłem, będąc w szkole, trochę nawet wygrywałem, ale nie zamierzałem tego kontynuować. Miałem iść do college'u.

- Dlaczego nie poszedłeś?

- Żona Caleba, zanim odeszła, ogołociła nas z gotówki. Nie miałem pieniędzy na naukę, a ujeżdżanie, a zwłaszcza wygrywanie, stało się jedynym sposobem utrzymania rancza. Na szczęście wygrywałem sporo, ale i tak trzeba było sprzedać połowę ziemi.

- Och, Brand, tak mi przykro...

- Moje gratulacje! - Pani doktor weszła, rozsuwając zasłony. - Będą państwo rodzicami.

Serce Toni o mało nie wyskoczyło z piersi. Poszukiwała wzrokiem oczu Branda. Był tak samo oszołomiony jak ona. Lekarka zmarszczyła brwi.

- Nie planowali państwo dziecka?

Brand siedział z pobladłą twarzą; wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć. Toni położyła rękę na jego dłoni.

- Ja tak.

Będzie miała dziecko. Z Brandem Landerem. Chciało się jej skakać z radości, a jednocześnie odczuła zawód: już nigdy nie dowie się, czy Brandowi zależy na niej, czy na dziecku.

Toni urodzi jego dziecko. Poczul, że ogarnia go coś w rodzaju ataku paniki. Jeśli to chłopiec, Toni nie będzie go już więcej potrzebować. Ale nie miał ochoty odejść. Nie odejdzie.

Zmełł w ustach przekleństwo. Jak to się stało? Starzał się do tego nie dopuścić a jednak zakochał się w swojej żonie. Toni traciła zmysły w jego ramionach, a on czuł się jak młody bóg. Kiedy dotykała go lub obdarzała uśmiechem, miał wrażenie, że eksploduje.

Poruszając się jak automat, pomógł Toni wejść do auta i usadowić się na fotelu. Myśli kłębiły mu się w głowie. Miał żonę i dziecko w drodze, a jeszcze trzy tygodnie temu zarzekał się, że nie myśli ani o jednym, ani o drugim. Czuł się oszołomiony, jakby gruchnął na arenę, zrzucony przez byka. Z tą różnicą, że nikt nie spieszył mu na ratunek.

Toni była straszliwie obolała. Brand pomógł jej wysiąść z samochodu. Robotnicy wybiegli im na-

przeciw. Ich troska była wzruszająca, ale drażył ją niepokój, wywołany milczeniem męża. Od chwili, kiedy lekarka zakomunikowała im wyniki testu, nie odezwał się słowem.

Kowboje zasypali ich pytaniami. Toni uniosła ręce, uciszając ich.

- To tylko stłuczenie.

- Chodź do domu - nalegał Brand.

- Nic ci nie jest, dziewczyno? - wysapał Rusty, który właśnie nadbiegł.

- Nic, jestem tylko obolała i zawstydzona, że spowodowałam tyle zamieszania. - Toni starała się uśmiechnąć do swojego starego opiekuna. Rusty rozpogodził się nieco i zwrócił do Branda:

- Twoje byki są w zagrodzie, ale jeśli jeszcze raz któryś skrzywdzi moją dziewczynkę, przerobię go na befsztyki!

- Brand... - Wade odchrząknął znacząco - co zrobić z tamtą... rzeczą na twojej ciężarówce?

Toni spostrzegła, jak Brand niedostrzegalnie pokręcił głową i momentalnie zdenerwowała się, że znów coś przed nią ukrywa.

- Z jaką rzeczą? - zapytała, patrząc na Wade'a.

Brand przesunął palcem pomiędzy kołnierzykiem koszuli a szyją. Zdezorientowany, zerknął na Toni, a potem na Rusty'ego. Westchnął.

- Kupiłem ci samochód z napędem na cztery koła. Wolę, żebyś nie siadała na konia, kiedy musisz objeżdżać pastwiska. Mniejsze ryzyko dla ciebie i dla dziecka.

Dziecko. Znów chodzi mu tylko o dziecko...

- Lekarka powiedziała, że nie muszę zmieniać trybu życia - naburmuszyła się.

- Po prostu nie przyszło jej do głowy, że masz zamiar jeździć konno.

Nawet jeśli słuszność była po jego stronie, nie miał prawa decydować za nią. Dosyć miała tego w przeszłości.

- Skoro już i tak się gniewasz, to powiem ci jeszcze, że kupiłem też telefony komórkowe. Chcę, żebyś zawsze brała ze sobą jeden, drugi będę miał ja, a trzeci Rusty.

- Nie jestem dzieckiem, nie musisz mnie bez przezwyciężenia pilnować. Miej odrobinę zaufania do mojego zdrowego rozsądku.

- Toni, nie masz racji. - Rusty nagle stanął między nimi. Jego oczy miały dziwnie bolesny wyraz. - Tym razem poprę twojego męża. Czterdzieści lat temu straciłem żonę i dziecko, które nosiła, tylko dlatego, że zrzucił ją koń i nie otrzymała w porę pomocy. Wykrwawiła się na śmierć dwa kilometry od domu. Nie będę spokojnie patrzył, jak się narażasz, kiedy tak łatwo można temu zaradzić.

Toni zapomniała o gniewie i z płaczem rzuciła się staremu na szyję. Nic nie wiedziała o tej strasznej historii, choć znała Rusty'ego tyle lat.

Z westchnieniem powiodła wzrokiem od jednego do drugiego.

- W porządku, będę jeździła nowym autem i brała ze sobą komórkę - powiedziała. Na takie ustępstwo

ostatecznie mogła się zgodzić. Jej ojciec w tej sytuacji po prostu rozkazałby jej siedzieć w domu.

Ból w żebrach przypominał jej, że nie jest w zbyt dobrej formie. Pożegnała mężczyznę uśmiechem i pokuśtykała do domu, podtrzymywana przez Branda. Marzyła o długiej, odprężającej kąpieli.

Toni przetoczyła się na drugą połowę łóżka, pojękując cicho. Miejsce Branda było puste. Przytuliła się do jego poduszki, wdychając znajomy zapach. Tej nocy okazał jej tyle delikatności jak nigdy przedtem.

Odrzuciła koc i pokuśtykała do łazienki. Wzdrygnęła się na widok swojej zmaltretowanej twarzy. Skronie mieniły się odcieniami czerni, błękitu i fioleto, a na włosach, których nie mogła na razie umyć, widać było jeszcze ślady krwi. Wyglądała tak, jakby brała udział w jakiejś barowej burdzie. Nawet własny ojciec nigdy jej tak nie urządził.

Wciągnęła dzinsy, podkoszulek i zeszła do kuchni. Może, jeśli coś zje, żołądek się uspokoi. Na dole uderzyła ją w nozdrza intensywna woń kawy. Zakrywając ręką usta, rzuciła się do łazienki. Jedną ręką przytrzymując obolałe żebra, drugą włosy, pochyliła się z jękiem nad muszlą.

- Toni?

To nie może być jej matka! Chryste, nie teraz. Pospiesznie wyszła z łazienki. W kuchni stali jej rodzice.

- Co wy tu robicie? - Poraził ją widok ich prze-

rażonych min. - Wiem, wyglądam strasznie. Zderzyłam się z bramą.

- Z bramą? - sarknął ojciec.

Toni cofnęła się instynktownie.

W tym momencie otworzyły się drzwi kuchenne, wpuszczając chłodny powiew i zapach jedliny. Ukazał się w nich Brand, niosąc wielką choinkę. Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że Toni zupełnie zapomniała o zbliżających się świętach. Brand oparł drzewko o ścianę i zamknął drzwi.

- Och, kochanie, kupiłeś choinkę?

- To ty tak urządziłeś moją córkę? - Toni aż za dobrze знаła groźną nutę w głosie ojca.

Brand, myśląc, że to tylko niewybredny żart, skinął głową i zanim zdążyła go ostrzec, wyciągnął rękę na powitanie. Dostał cios w szczękę i zatoczył się, rozcinając sobie brodę o framugę drzwi.

- Tato! - krzyknęła przerażona i rzuciła się do ojca. - Przestań, proszę! - wołała histerycznie, chwytając go za ramię.

- On uderzył ciebie, więc ja uderzyłem jego.

Znała tę szlachetną pozę, którą jej ojciec przybierał wobec obcych. Udawał, że jest uosobieniem łagodności i cierpliwości, dopóki ktoś - najczęściej żona albo córka - nie wyprowadził go z równowagi. Wtedy brał się do bicia.

Toni popatrywała z obawą to na jednego, to na drugiego. Brand przyjął postawę obronną. Puściła ramię ojca i podeszła do męża. Wiedziała, że w każdej chwili i ona może otrzymać cios. W jej oczach uka-

zały się łyzy poniżenia. Tak bardzo pragnęła trzymać Branda z daleka od swego rodzinnego piekła. Teraz już znał jej sekret.

- Mówiłam ci, tato, wpadłam na bramę.

- Nie próbuj mnie okłamywać! - ryknął i zamachnął się na nią otwartą dłonią.

Toni, zacisnąwszy szczęki, szykowała się na przyjęcie ciosu, lecz Brand błyskawicznym ruchem schwycił jej ojca za nadgarstek, odginając mu rękę do tyłu.

- Ręce precz od mojej żony - warknął.

- Nikt nie będzie bił mojej córki! - Starszy mężczyzna z furią próbował wyrwać się z uścisku młodszego.

- Nikt poza tobą, chciałeś powiedzieć - złowieszczy ton w głosie Branda sprawił, że Toni zjeżyły się włosy na głowie. Takim go jeszcze nie widziała.

- Dzwon po szeryfa, Toni.

- To mój ojciec...

- Nie znaczy, że ma prawo cię bić. Wezwij szeryfa.

- Nie rób tego, córeczko, proszę! - Matka schwyła ją za rękę.

Targana niepewnością, przypominała sobie, jak po ostatniej awanturze wyprowadziła się z domu jeszcze tej samej nocy. Znalazła pracę i wolność, ale nie opuszczało jej poczucie winy, gdyż pozostawiła matkę na pastwę tyra. Z drugiej strony wiedziała, że tylko mama potrafi dać sobie radę z ojcem, kiedy ten wpadnie w gniew.

- On potrzebuje pomocy, mamó. - Toni sięgnęła po słuchawkę.

- Już ma pomoc. Jest z nim o wiele lepiej, naprawdę. Ponad rok był spokojny.

- Aż do dziś - mruknął Brand.

- No tak, to był dla Paula szok, ale przecież dowiedział się znieścacka o ślubie Toni, a teraz zobaczył ją taką... poobijaną.

- To jeszcze nie powód, żeby bić kobietę albo słabszego - powiedział niechętnie Brand.

- Proszę cię, Toni. odłóż telefon. Ojciec co tydzień chodzi na terapię - błagalny ton matki sprawił, że córka opuściła słuchawkę.

W drzwiach kuchennych ukazał się Rusty.

- Przyszedłem pomóc przy choince. Dzień dobry, Allison, dzień dobry, Paul - powiedział uprzejmie, obejmując obecnych bystrym spojrzeniem. - Czy coś się stało?

- Mój ojciec posądził Branda, że jest damskim bokserem i...

Rusty pokręcił głową.

- Ależ z ciebie dureń, Swenson. O co chodzi? Tylko ty masz prawo bić swoje kobiety?

Ojciec Toni szarpnął się i zaklął. Brand pobladł i przytrzymał go mocno za ramię.

- Możesz go puścić - powiedział Rusty. - On już wie, że jeśli jeszcze raz podskoczy, popamięta mnie. Od dawna o tym marzę.

- Powinien zostać zamknięty - burknął Brand, puszczając niechętnie Paula Swensona.

Paul ze wściekłą miną obciągnął marynarkę i odsunął się możliwie najdalej od nowego zięcia. Toni trzy miała się w bezpiecznej odległości.

- Nic dobrego z tego nie wyjdzie - ciągnął Rusty.

Musi pani jak najszybciej go stąd zabrać, Allison, bo jak nie, to zabierze go szeryf.

- On się leczy - powtórzyła matka Toni bez przekonania.

- Chyba nieskutecznie - skomentował Brand, stając obok żony.

Toni przyjrzała mu się uważnie. Kipiał gniewem, ale jego oczy pozostały łagodne, tak jak jego dotknięcie, kiedy otoczył ją ramieniem. Dotknęła troskliwie obrzmiałej szczęki.

- Trzeba ci zrobić okład z lodu.

Przykrył jej dłoń swoją. Łzy stanęły Toni w oczach, kiedy spotkała jego pełne zrozumienia spojrzenie.

- Więc w końcu w jaki sposób moja córka nabawiła się tych siniaków, Rusty? - zapytał Paul.

Tylko nie próbuj mi wmówić, że zderzyła się z bramą.

- Wyobraź sobie, że właśnie tak było - odpowiedział Rusty, wyjmując z lodówki torebkę z lodem i podając ją Brandowi. - A co do tego młodego człowieka, możesz być spokojna, Allison. Już ja bym nie pozwolił, żeby jakikolwiek mężczyzna skrzywdził moją dziewczynkę. - Mówiąc to, Rusty spojrzał znacząco najpierw na Branda, potem na Paula.

- Sama potrafię o siebie zadbać - odparła Toni.

- Dlaczego płakałaś, wychodząc z łazienki? - za pytała matka.

Toni zerknęła niepewnie na męża. Chyba nie uda jej się zachować tego sekretu przez dziewięć miesięcy.

- Nie płakałam, mamó. Miałam poranne mdłości. Brand i ja będziemy mieli dziecko.

Niespodziewana wiadomość o ciąży wywarła jeszcze bardziej piorunujące wrażenie niż wieść o ślubie Stary Swenson wyglądał tak, jakby miał ochotę znów rzucić się na Branda.

Brand pogłaskał Toni po policzku.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Wszystko w porządku. Zaszкодził mi tylko zapach kawy. Takie rzeczy są normalne na początku ciąży - powiedziała uspokajającym tonem.

Bez słowa przeszedł przez kuchnię i wylał resztki kawy do zlewu.

- Jak mogłaś wyjść za mąż, nie informując nas o tym? - Ojciec Toni znów ruszył do ataku. - Przecież nic nie wiesz o mężczyznach.

- Wiem, jakich mężczyzn powinnam omijać - odcięła się w pierwszym odruchu, lecz uzmysłowiła sobie, że powinna unikać prowokacji.

- To jest jakiś ujeżdżacz...

Brand spoglądał na teściów, oparty o blat kuchenny. Teraz, kiedy znał już sekret Toni, pożałował, że go poznał. Cała sytuacja wyzwoliła w nim agresję, o jaką sam siebie nie podejrzewał. Kto wie, do czego by doszło, gdyby nie wszedł Rusty. Darowałby ojcu

ni, że rzucił się na niego, przekonany, iż pobił jego I orkę, ale jeśli ten facet chciał uderzyć Toni... Poza ivin miał dość niewybrednych pretensji o niewłaściwy wybór męża i przedwczesną ciążę. Postanowił działać bardziej stanowczo.

- Radzę, żeby pan przystopował, panie Swenson rzucił przez zaciśnięte zęby. - Jeśli ma pan do mnie jakieś zastrzeżenia, możemy porozmawiać, ale Toni proszę zostawić w spokoju.

Paul usiadł, a Allison stanęła tuż za nim, kładąc mu dłonie na ramionach. Brand zmęczonym gestem przesunął ręką po twarzy. Nie najlepiej zaczęła się jego znajomość z teściami. W końcu ten facet jest jednak ojcem jego żony...

- Teraz należy troszczyć się o nią i o dziecko - dodał chłodno i podszedł do Toni. Z troską ujął w dłonie jej pobladłą twarz, pokrytą kropelkami potu. - Jak się czujesz, kochanie?

Nie odpowiedziała. Zasłaniając sobie usta dłonią, pędem wybiegła z kuchni. Brand natychmiast podążył za nią. Kiedy pochyliła się nad sedesem, ukląkł obok, aby przytrzymać jej włosy. Potem, kiedy już wypłukała usta, delikatnie przetarł jej twarz zwilżonym ręcznikiem. To wszystko moja wina, myślał z przygnębieniem, patrząc na sińce, nabierające kolorów tęczy. Najpierw narzucił się jej jako mąż, a potem narzucił jej swoje pomysły co do prowadzenia rancza. Nie był wcale lepszy od jej piekielnego tatuśka. Pocałował Toni delikatnie w policzek.

- Przepraszam.

W rewanżu dotknęła jego opuchniętej szczęki.

- Ja też.

- Czy pośrednik już był? - zapytał Swenson, kiedy wrócili do kuchni. - Obiecał mi zrobić wycenę.

Brand poczuł niemiły skurcz w żołądku. Rodzice chcieli, żeby córka sprzedała ziemię.

- Toni i ja nie zamierzamy sprzedać rancza - oświadczył.

- Chcemy, żebyś wróciła z nami do domu. Toni - powiedział Paul, zerkając w jego stronę.

Brand zacisnął pięści. Nie odda temu niepoczytalnemu brutalowi Toni ani dziecka.

- Toni jest u siebie w domu.

- Jak długo go znasz? - indagował Swenson, udając, że nie słyszał tej uwagi.

- Poznaliśmy się niedawno w Vegas - przyznała.

- Do jakiego college'u chodziłeś, Lander?

- Do żadnego. - Brand zacisnął pięści.

- Tato...

- Czy myślisz, że ten kowboj... - Twarz ojca była czerwona z gniewu. - ..poślubił cię z miłości? Rusz głową, dziewczyno! Chodzi mu o twoją ziemię i pozycję, o nic więcej. Tacy jak on lubią wydawać pieniądze, tylko nie potrafią sami ich zarobić.

Brand uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły talerze.

- Poślubiłem waszą córkę z kilku powodów, ale na pewno nie dla pieniędzy.

- Miło mi, że troszczysz się o mnie, tato, ale robisz to niepotrzebnie - wtórowała mu Toni.

- Zaryzykowałam małżeństwo z mężczyzną, którego ledwie znasz - irytował się Paul. - Przyznaj się do błędu i wracaj z nami, a ja już załatwię resztę.

Toni podniosła się, a Brand stanął obok niej.

- Nie zrobię tego, i dobrze o tym wiecie. Tu będzie dom mojego dziecka. Bezpieczny, z dala od ciebie, tato.

Swenson posiniał z wściekłości i trzęsącymi się rękami wyciągnął książeczkę czekową.

- Za ile zgodzisz się zniknąć, kowboju?

Brand czuł, że Toni cała drży i postanowił nie dać się sprowokować.

- Nie ma pan tyle - odpowiedział, prowadząc żonę ku wyjściu. - Pójdziemy się przejść, kochanie. Myślę, że oboje potrzebujemy świeżego powietrza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o swoim ojcu?
- zapytał Brand, kiedy doszli do ogrodzenia pastwiska.

Toni wskazała na małą bliznę w kształcie podkowy na swoim policzku. Brand poczuł przypływ bezsilnej złości, kiedy uświadomił sobie, że stary Swenson nosi na palcu pierścionek w takim kształcie.

- A co miałam powiedzieć? „Wiesz, kochanie, mój tatuś lubi bid kobiety”?

- Więc przynajmniej teraz powiedz mi wszystko.

- Ojciec miewa zmienne nastroje - odparła po krótkim wahaniu. - Kiedy coś nie idzie po jego myśli, wyładowuje swoją złość na nas. Starłam się brać na siebie cały impet, żeby chronić matkę.

- Powinno się go zamknąć. Dlaczego nie poskarżyłaś się nikomu?

- Próbowałam uzyskać pomoc. Rozmawiałam ze szkolnymi psychologami, którzy obiecywali zawiadomić opiekę społeczną. Ale zanim zdążyli coś zrobić, ojciec zmieniał pracę, przenieśliśmy się do innego stanu, a ja musiałam zmieniać szkołę i przyjaciół. Zresztą tata nie chciał, żebym zaprzyjaźniła się z kimkolwiek na tyle, aby zacząć mu opowiadać o tym, co

się dzieje w mojej rodzinie. Ciągłe przeprowadzki i przemoc fizyczna, to był jego sposób na utrzymanie nas w ryzach. Wiedział, że będziemy musiały go znosić, dopóki nie znajdziemy oparcia w kimś innym. Jedynym miejscem, gdzie czułam się bezpieczna, było zawsze Rocking A. - Toni zwróciła do Branda pobladłą, wymizerowaną twarz i kurczowo chwyciła go za ramię. - On jest moim ojcem, Brand, i pomimo wszystko go kocham. Długo myślałam, że to moja wina, gdyż nie jestem dostatecznie dobrą córką.

- Toni, on jest chory. - Brand poczuł, że chciałby wziąć ją w ramiona i mocno przytulić.

- Teraz już to wiem. Kiedy ostatni raz mnie pobił, wyładowałam w szpitalu. Gdyby nie pewna wytrwała terapeutka, nie zrozumiałabym pewnie nigdy, że nie ma w tym mojej winy. Wyłumaczyła mi też, że nie dam rady pomóc mamie, jeśli sama nie będzie tego chciała. A przede wszystkim przekonała mnie, że powinnam odejść. Jeśli to, co moja matka mówi o jego leczeniu, jest prawdą, należałoby się cieszyć. Dotąd ojciec nigdy nie chciał przyznać, że coś z nim jest nie w porządku.

- Skrzywdził cię. - Brand nie mógł opanować gniewu.

- Owszem, ale jeszcze bardziej bolesne było to, że pomimo nalegań moich i dziadka, mama nie godziła się od niego odejść. Twierdziła, iż nie może znieść, że dziadek chce o wszystkim za nią decydować. Toni zaśmiała się gorzko. - Tak jakby nic rozumiała ojciec był tysiąc razy gorszy. Jeśli dziadek próbował

nam czasem coś narzucić, czynił to tylko po to, aby nas chronić. I nigdy, przenigdy nie podniósł na mnie ręki, nawet w gniewie.

Brand poczuł dławienie w gardle. Dopiero teraz zrozumiał, czemu Toni tak bardzo zależało na tym ranczu. Czy miał jednak prawo narzucać jej swoją osobę? Brzmiały mu w uszach oskarżycielskie słowa Paula Swensona. Toni skończyła studia. A on? Cóż mógł jej ofiarować? Nigdy nie miał stałej pracy, poza ujeżdżaniem byków. Zaiste, Toni zasługiwała na coś lepszego.

Toni odetchnęła z ulgą, widząc, że samochodu rodziców już nie ma. Brand szedł za nią z naręczem drewna.

- Rozpalimy w kominku i udekorujemy drzewko Rusty pewnie już je oprawił.

Zapach ustawionej w kącie choinki wypełniał całe pomieszczenie. Obok stało znajome pudło, w którym babka trzymała ozdoby choinkowe. Toni uklękła przy nim i uśmiechając się do siebie, uniosła wieko. Rzeczy, w większości wykonane własnoręcznie w domu, w dużej części przez nią samą, były symbolem spuścizny Rocking A. Spuścizny, którą przekaże swojemu dziecku.

Obok obrazka ze świętym Mikołajem twarzą małej Toni pokazywała bezzębny uśmiech.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedem. Pamiętam, bo prosiłam świętego Mikołaja o przednie zęby. Babcia, aż do swojej śmierci, co

roku robiła mi takie zdjęcie. Powinno ich być szesnaście.

- Spędzałaś tu chyba masę czasu - powiedział Brand, rozplątując lampki.

- Wszystkie miesiące letnie i święta. Ojciec pracował w hotelarstwie i w święta był zawsze zajęty. Poza tym dziecko biegające po hotelowych korytarzach przeszkadzałoby gościom. Zresztą uwielbiałam tu przyjeżdżać i nigdy więcej nie chcę stąd wyjeżdżać.

Toni przysiadła na piętach i kołysała w dłoniach aniołka, wykonanego ze skrawków ślubnej sukni jej praprababki.

- A co twoja rodzina robiła na Gwiazdkę?

Brand, grzebiąc w pudle, odwracał od niej twarz.

- Od czasu, jak mama odeszła, nic szczególnego. Był to dzień jak każdy inny, tym bardziej, że pieniędzy zawsze brakowało, a obowiązków w gospodarstwie przybywało. - Nie patrząc na nią, zaczął umieszczać lampki na choince. Toni ścisnęło się serce na myśl o małym chłopcu, który nie miał prawdziwej Gwiazdki.

- A Święty Mikołaj?

- Odszedł razem z mamą.

Toni poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Już wiedziała, jaki będzie najpiękniejszy prezent dla jej męża na Gwiazdkę: po prostu prawdziwe święta.

Wczesnym rankiem Brand wyslizgnął się z łóżka i zszedł na dół. W całym domu pachniało pieczonym

indykiem, na kredensie w kuchni stały ciasta i ciasteczka. To już tak dawno, a jednak pamiętał jeszcze święta z czasów, kiedy matka była z nimi. Podobnie jak dzisiaj Toni, wstawiała zawsze przed świtem, aby upiec indyka i wszystko przygotować.

Poczuł bolesny ucisk w żołądku. Tak bardzo chciałby uwierzyć, że Toni jest inna niż kobiety, które znał do tej pory - a jednocześnie bał się kolejnego rozczarowania.

Z termosem i wielką paczką wrócił na górę. Położył prezent na łóżku i podał Toni kubek gorącej czekolady.

- Wesołych świąt, kochanie.

- Wesołych świąt - odpowiedziała z radosnym uśmiechem.

- Może otworzysz prezent? - zapytał, wysuwając paczkę zza pleców.

Porwała ją i niecierpliwie, jak dziecko, zaczęła odwijać papier.

- Co to? - Znieruchomiała nagle. - Kupiłeś mi krakersy?

- Tak mi doradziła sprzedawczyni. Powiedziała, że tylko to mogła jeść, kiedy spodziewała się dziecka.

Toni, śmiejąc się, sięgnęła pod łóżko. Wyciągnęła stamtąd płaski pakunek i podała go Brandowi.

' Czyżby chciała zakpić z mojego tchórzostwa? po myślał, rozpakowując książkę o węzach.

- Znajdziesz w tej książce wszystkie mądrości na temat węży, ich odmian i tego, które są jadowite.

i które nie. Pomyślałam, że to ci pomoże przetrwać cięży łęk.

Brand skrzywił się nieco, gdyż przypomniała mu o jego słabości. Dobrze, że przynajmniej nie śmiała się z niego.

- Dzięki - bąknął.

- Bardzo proszę. Reszta prezentów jest na dole.

Brand dostał jeszcze koszulę, skarpetki i strzelbę.

- To na wypadek, gdyby książka nie pomogła - powiedziała Toni z uśmiechem.

- Dla kogo to wszystko? - zapytał, wskazując na pozostałe prezenty. Pracownicy, oprócz Rusty'ego, porozjeżdżali się na święta do domów.

- Zaprosiłam twoją rodzinę - odrzekła niepewnym głosem.

Brand porwał ją w ramiona i radośnie wycałował w podzięce za to, że przywróciła mu zwykłe, rodzinne święta. I dlatego, że zadała sobie trud, aby pomóc mu zwalczyć fobię. Ale przede wszystkim dlatego, że ją kochał. I to był jego sekretny prezent dla niej. Pogłaskał Toni po włosach.

- Ja też mam coś jeszcze dla ciebie.

- Ależ Brand, dostałam już samochód terenowy, komórkę i zapas krakersów. Czego jeszcze mogę ----- bować?

Bez słowa poszedł na werandę i przyniósł stamtąd duże pudło, które położył jej na kolanach. Toni uniosła pokrywę. W środku spał puszysty kremowo-biały kociak i czarna kotka. Na szyjach miały obróżki z wypisanymi imionami: Dzień i Noc.

- Wolę, żeby to one zajęły się szczurami.
- Ja też - uśmiech Toni był jak promień słońca, przedzierający się przez chmury.

Brand pomyślał, że chciałby odtań zawsze spędzać święta z Toni i jednocześnie zdał sobie sprawę, że to życzenie pewnie się nie spełni.

Toni otworzyła drzwi, aby powitać czterech Landerów. Na widok ich ponurych min doznała wrażenia déjà vu. Cort, z gałązką jemioli w dłoni, wysunął się naprzód.

- Wesołych świąt, siostrzyczko - powiedział, całując ją w policzek. On jeden potrafił się cieszyć świąteczną atmosferą.

Zaprosiła Landerów do środka i przedstawiła Rusty'emu. Brand usiadł na kanapie i przyciągnął Toni do siebie. Wtuliła się w zagłębienie jego ramienia, myśląc, że dobrze siedzieć przy kominku razem z mężem i jego rodziną, nawet jeśli jest to tylko chwilowy kaprys z jego strony. Najpiękniejszym prezentem byłaby dla niej pewność, że te święta są pierwszymi z wielu, jakie spędzi u boku Branda.

Oblicza braci złagodniały na widok rozjarzonej choinki i leżących pod nią, pięknie opakowanych prezentów, między którymi buszowały radośnie koty Toni. Kiedy zaczęli rozpakowywać upominki, miała wrażenie, że na jedną krótką chwilę cofnęli się do zapomnianego czasu dzieciństwa. Kiedy się z tym uporali, wstała i podeszła do świątecznego drzewka. Pozostał już tylko jeden prezent, ten, nad którego

przygotowaniem spędziła wiele godzin. Podała paczkę Jackowi Landerowi, mówiąc:

- Mój dziadek przechowywał na strychu przynajmniej tuzin roczników czasopisma o rodeo. Wycięłam z nich wszystko, co było na temat Branda. Mam nadzieję, że kiedyś pokażesz to swoim wnukom i opowiesz im o tym, jaki był ich tata jako chłopiec.

Jack Lander skinął milcząco głową. Toni zdawało się, że w jego oczach dostrzeża łzy.

- Wnukom? Czy dobrze zrozumiałem...?

- Dobrze zrozumiałeś. Na przyszłą Gwiazdkę będzie tu już z nami dziecko - powiedział Brand, podchodząc z tyłu do Toni i opasując ją ramionami.

Patrick i Caleb wymienili ponure spojrzenia. Za to Cort wyglądał na uszczęśliwionego.

- Pewnie będziesz przebierał się dla niego za świętego Mikołaja, tak jak robiłeś to dla mnie.

Jack Lander chrząknął znacząco.

- Jeśli zaraz nie spróbuję tego sernika, który widziałem, wchodząc, umrę z głodu.

- No to siadajmy do stołu - zawołała ze śmiechem.

Ojciec zatrzymał Branda, kładąc mu rękę na ramieniu, ale nie mówił nic, dopóki wszyscy nie wyszli z pokoju.

- Toni spodobałaby się twojej matce.

- Myślę, że byłoby jej wszystko jedno, z kim się żenię - odpowiedział Brand ze zdumieniem.

W oczach ojca pojawił się smutek.

- Nieprawda! Mama kochała was. To mnie nie

mogła ścierpieć, bo przeze mnie nie mogła być z tym. którego kochała.

Brand stał jak sparaliżowany, słuchając dalszych słów ojca.

- Byliśmy z twoją matka jedynie przyjaciółmi. Pewnego wieczoru wypiliśmy trochę za dużo i stało się. Zaszła w ciążę. Nie miała nikogo poza mną, więc pobraliśmy się. Przeżyliśmy parę szczęśliwych lat i w końcu pokochałem ją. Kiedy Caleb i Patrick poszli do szkoły, mama nudziła się na ranchu, więc poszła do pracy, do miasta. Zakochała się w swoim szefie. Wiedziałem, że chciała odejść, i postarałem się, by znowu była w ciąży. Została, ale nie była szczęśliwa. Przekonałem ją, że następne dziecko scementuje nasz związek, i tak urodził się Cort. Jednak pewnego dnia odeszła do kochanka. Napisała, że chce zabrać ciebie i Corta. Nie zdażyła tego zrobić. Zginęła z tamtym facetem w wypadku samochodowym w Meksyku. - Na twarzy Jacka malował się ból. - Toni to miła dziewczyna. Bądź dla niej dobry. - Poklepał syna po ramieniu i skierował się do kuchni.

Brand nie był w stanie zrobić kroku. Czuł, jakby wokół walił się świat.

Minęły święta. Pewnego dnia Toni obudziła się, czując łupanie w głowie. Zaspana, podreptała do łazienki w asyście kotów. Brand był już od rana na nogach. Dopiero kiedy strumień zimnej wody z kranu otrzeźwił ją, zrozumiała, że dudniące odgłosy pochodzą z zewnątrz. Po szybkim śniadaniu, złożonym je-

dynie z tosta, wyszła przed dom i zobaczyła ze zdziwieniem braci Branda, siedzących rzędem na dachu szopy i pracowicie naprawiających go. Obok Jack Lander nadzorował robotników, malujących ogrodzenie.

- Roy, o co tu chodzi? Gdzie jest Brand?

Roy przerwał wyładunek puszek z farbą i otarł pot z czoła.

- Twoi sąsiedzi i rodzinka Branda ostro wzięli się do roboty. - Zachichotał. - Jeszcze niedawno musiał ścierać do pracy swoich kowbojów, ale odkąd ratował cię przy tej bramie, ludzie zobaczyli, że dba o ciebie jak księżę z bajki i teraz pchają się do was drzwiami i oknami, żeby pomóc. A tak w ogóle Brand jest przy bykach, bo pojawili się jacyś chłopcy, którzy chcieli brać lekcje ujeżdżania - dodał. - Chodź, pójdziemy tam razem.

- Ramiona prosto, rękę wysuń do przodu. Skoncentruj się na szczegółach, a będzie dobrze - komentował tak dobrze jej znany, chropawy głos.

Toni poczuła ucisk w dołku, kiedy zobaczyła młodego, może osiemnastoletniego chłopaka, przejętego i pełnego podziwu.

- Bardzo chciałbym zobaczyć cię w akcji, Brand.

Czy dosiadzie bestii? Tam, w Vegas, nie myślała o ryzyku, jakie podejmował, ale teraz...

- Jeździłem na tym byku w Cheyenne i zdobyłem dziewięćdziesiąt dwa punkty. Chętnie pokażę ci to na wideo, ale już na niego nie wsiądę - usłyszała spokojny głos Branda. - Niedługo urodzi mi się dziecko

i chciałbym widzieć, jak dorasta. - Poklepał chłopaka po ramieniu, zabezpieczonym ochraniaczem. - Pamiętaj, wiej, ile sił w nogach, kiedy tylko znajdziesz się na ziemi.

- Jasne - odpowiedział chłopak, kierując się ku bramie, za którą Aaron i Dekę czekali z bykiem.

Po chwili brama rozwarła się z hukiem i Toni zobaczyła obłok kurzu, byka i kowboja wylatującego w powietrze. Aaron i Dekę zagonili rozszalałe zwierzę z powrotem do zagrody. Potem Brand cierpliwie tłumaczył młodemu adeptowi, jakie popełnił błędy, i chwalił za to, co zrobił dobrze. Toni pomyślała, że jest dobrym nauczycielem, który zamiast zniechęcać ucznia krytyką, potrafi obudzić w nim wiarę we własne siły.

- Szkoła ujeżdżania mogłaby przynosić niezłe dochody - powiedział Roy, zerkając na nią. - Oczywiście, o ile Brand nie będzie zmuszony z niej zrezygnować.

- Wcale nie chcę, żeby zrezygnował.

- Mam nadzieję. Już i tak rzucił dla ciebie ujeżdżanie - dodał kowboj i skinąwszy jej na pożegnanie, oddalił się.

Nie miał racji. Wcale nie pragnęła zmieniać Branda. Podziwiała jego odwagę, uczciwość i poczucie odpowiedzialności. Nie tego, co prawda, szukała, jadąc do Vegas, ale widocznie los chciał, aby właśnie ten mężczyzna został ojcem jej dziecka i skradł jej serce. Zawsze będzie mile wspominać czas, który spędzili razem.

Brand pomachał chłopcom na pożegnanie i ruszył w jej kierunku. Drżała, widząc, jak zachłanne staje się jego spojrzenie. Szybko chwycił ją za rękę, posadził na siodełku traktora i pocałował szybko, z pasją, od której zabrakło jej tchu.

- Może wybierzemy się na lunch? - zaproponował.

Toni przeciągnęła językiem po wargach. Już miała odpowiedzieć, kiedy nagle z zagrody dobiegł ich krzyk i szcęk metalu. Brand rzucił się w tamtą stronę. Toni pospieszyła za nim. Zza bramy wytoczył się czarny byk. Na jego rozkołysanym grzbiecie próbował utrzymać się Wade. Brand zaklął i przeskoczył przez ogrodzenie. To samo zrobili Aaron i Dekę. Toni krzyk u wiązał w gardle. Żaden z mężczyzn nie miał na sobie ochronnego ubrania. Wade został wyrzucony w powietrze w ciągu kilku sekund. Runął na ziemię, a byk ruszył na niego. Brand rzucał kapeluszem i machał rękami, aby odwrócić uwagę zwierzęcia od ofiary. Kiedy byk zaszarżował ku niemu, pędem rzucił się ku bandzie. Toni zamarła z przerażenia. Ostre rogi już-już miały dotrzeć do Branda, kiedy wpadł między nich Dekę. Zwierzę zwróciło swój impet ku nowemu napastnikowi, ale Dekę zdołał wspiąć się na ogrodzenie. Aaron zatrzasnął bramę i zaryglował ją szybko.

Toni miała ściśnięty żołądek, a serce waliło jej jak młotem. Brand chwycił Wade'a za koszulę i przycisnął go do ogrodzenia. Nigdy jeszcze nie widziała męża w takiej furii.

- Co ty wyprawiasz, durniu?! Rozum straciłeś?!!

Przerażała ją wściekłość, malująca się na twarzy Branda. Trzeba odwrócić jego gniew od tego biedaka, pomyślała.

- Przestań, proszę. - Z całej siły próbowała odciągnąć go za ramię, ale zdawał się jej nie zauważać.

- Mogłeś się zabić, idioto! Jeśli masz zamiar nadal tak głupio się zachowywać, to lepiej od razu pakuj manatki i wynos się stąd!

- On chciał ci zaimponować! - krzyknęła Toni
- Ciemne brwi drgnęły, ale na powrót ściągnęły się gniewnie.

- Narażasz życie trzech mężczyzn i uważasz, że to komuś zaimponuje? - Brand aż się trząsał z furii, jednak nie podniósł ręki na Wade'a. Ani na nią. Toni puściła jego ramię.

- Przykro mi - bąknął strapiony Wade.

- To za mało. Nie będę współpracować z kimś, do kogo nie mogę mieć zaufania. Znasz zasady: żadnego ujeżdżania bez mojego pozwolenia.

- Tak, szefie, jestem głupi.

- Nie jesteś głupi, dzieciaku - Brand westchnął, ocierając czoło - tylko ten jeden raz cholernie głupio postąpiłeś. Zęby mi się to więcej nie powtórzyło!

Obyło się bez rozlewu krwi. Czyżby terapeuci mieli rację? Czyżby rzeczywiście istnieli mężczyźni, którzy potrafią nad sobą panować? I czy Brand jest jedynym z nich?

- Myślałaś, że go uderzę? - poczuła na sobie jego uważne spojrzenie.

Nie potrafiła zaprzeczyć.

- Czy tak właśnie zawsze postępowałaś? Stawałaś między matką a ojcem?

- Ktoś musiał ją ochronić.

Brand objął Toni ramionami i wtulił twarz w jej włosy.

- Powinien to robić wymiar sprawiedliwości, u nie biedne, niewinne dziecko - powiedział.

ROZDZIAŁ JEDENASTY*

Toni odłożyła słuchawkę i zaczęła chodzić po pokoju. Dzwoniła Megan Jeffries, była dziewczyna Branda z Coyote Western Wear w Houston. Firma ta była jednym ze jego sponsorów. Potrzebowali go na tydzień do wylansowania kolejnego produktu.

Ręce się jej trzęsły, a kolana osłabły, i to wcale nie z powodu ciąży. Wbrew własnej woli zakochała się w tym kowboju, który miał być facetem na jedną noc. i już nie chciała, żeby odszedł. Opadła na skórzany fotel i oparła głowę na rękach. Rozumiała, że nie da się zatrzymać kogoś przy sobie, trzymając go pod kluczem. Musiała zaufać Brandowi i pozwolić mu pojechać do Houston.

Wszedł Brand w towarzystwie Craiga Stevensa.

- Pan doktor przyjechał ponowić swoją propozycję - powiedział Brand obojętnym głosem.

- Właśnie, ale przede wszystkim pragnę pogratulować ci dziecka.

- Dzięki. - Toni uśmiechnęła się, kładąc sobie dłoń na brzuchu. Ten gest wszedł jej w krew, podobnie jak jedzenie krakersów.

- Przede wszystkim - powiedział weterynarz, siadając - chcę was oboje zapewnić, że nie mam zamia-

ru wymagać od Toni żadnych ryzykownych czynności. Potrzebuję po prostu pomocy w przychodni. Zamówiłem nową aparaturę laserową, na której się nie znam. Chciałbym, żebyś pomogła mi ją zainstalować i nauczyła obsługi.

Brand dostrzegł podniecenie w oczach Toni i rumieniec na jej twarzy, które za moment ustąpiły miejsca rezygnacji.

- Dziękuję za propozycję, ale będę zajęta hodowlą bydła i chyba nie starczy mi na nic innego czasu.

Doktor Stevens spojrział ze zdziwieniem na Branda.

- Nie możesz jej puścić chociaż na piętnaście godzin tygodniowo?

- Nie, hodowla to moja działka. Brand będzie zajęty przy swoich bykach - Toni pospieszyła z odpowiedzią, zanim zdążył zareagować.

Widział, jak bardzo pragnęła tej pracy. W końcu może przecież nająć kogoś do pomocy, pomyślał, i w ten sposób ją uszczęśliwi.

- Zastąpię cię - powiedział i został za to nagrodzony najpiękniejszym z uśmiechów.

Toni rzuciła mu się na szyję, a on objął ją mocno, ciesząc się jej radością, choć sam z niechęcią myślał o chwilowym nawet rozstaniu.

- Był do ciebie telefon - powiedziała Toni po wyjściu weterynarza. Uśmiech znikł nagle z jej twarzy.

- Masz zadzwonić do niejakiej Megan Jeffries. Chce, żebyś w przyszłym tygodniu był w Houston.

- W przyszłym tygodniu? Myślałem... - U boku

Toni czas biegł tak szybko. - Zadzwoń później, teraz mam coś ważniejszego do zrobienia.

Chwytał ją za rękę, nie pozwalając wyjść z pokoju. Widział, że telefon wyprowadził ją z równowagi.

- Coś nie w porządku?

- Ależ skąd.

- Toni, z Megan już dawno wszystko skończone.

Chciał powiedzieć jej, że jest jedyną kobietą w jego życiu, ale ona szukała czegoś na biurku, nie zwracając na niego uwagi.

- Pojedź ze mną do Houston.

- W poniedziałek zaczynam pracę u Craiga.

Brand starał się nie okazać rozczarowania.

- Rzeczywiście, zapomniałem. To nic wielkiego, wracam przecież za tydzień.

Jednak dla niego było to coś wielkiego. Powinni stanowić jedność, zamiast zajmować się każde swoimi sprawami. Czekają na niego mnóstwo pracy, jednak usiadł w skórzanym fotelu i posadził sobie Toni na kolanach. Złożyła głowę na jego ramieniu. W takich chwilach zapominał, w jaki sposób ich znajomość się zaczęła i jak może się skończyć.

- To będzie prawdopodobnie mój ostatni wyjazd do Houston - powiedział miękko.

Kontrakt z Coyote Western Wear kończył się i nic miał zamiaru go odnawiać. Uzbierał już dosyć pieniędzy. Niech teraz przejmie pałeczkę jakiś młodszy ujeżdżacz, któremu nie przeszkadza ciągle przebywanie z dala od domu i rodziny.

- Naprawdę?

- Tak. Teraz będę zajęty tutaj. - Jego dłoń wędrowała od jej twarzy w dół, do brzucha.

- Dziękuję, że zgodziłeś się, abym pracowała.

Zgodziłbym się na wszystko, byleby cię tu zatrzymać. O mało nie powiedział tego na głos.

Toni usiadła obok Branda i strzepnęła z bluzki okruchy krakersów. Jechali do miasta na wezwanie Kyle'a Williamsa, jej prawnika. Była zdenerwowana, gdyż prawnik dopatrywał się nieprawidłowości w intercyzie i chciał się z nimi koniecznie zobaczyć jeszcze przed wyjazdem Branda.

Sekretarka poprosiła ich prosto do gabinetu.

- Co się stało? - zapytała Toni, siadając.

- Jak już mówiliśmy, powinnaś mieć męskiego potomka, aby uzyskać prawa do rancza po dziadku.

Toni skinęła głową.

- Szkoda, że nie poczekaliście na mój powrót ze sporządzeniem umowy przedślubnej. Obawiam się, że mój zastępca niedokładnie zrozumiał, w czym rzecz - ciągnął prawnik.

- Co masz na myśli? - zapytała, pełna złych przeczuć.

Kyle rzucił okiem na Branda i powiedział, patrząc na Toni:

- Ślub odbył się przed urodzeniem dziecka. a więc akt własności rancza muszę sporządzić na nazwisko męża

- Czyli, kiedy wyszłam za Branda, to tak jakbym rzekła się rancza?

- Twierdzi pan, że ranczo jest moje? - zapytał Brand.

- Właśnie.

Na czoło Toni wystąpił zimny pot. Przed oczami wirowały jej plamy. Sprzedała się za kawałek ziemi i została z niczym. Nieprawda, została z dzieckiem, tyle że bez domu. Teraz już Brand pozbędzie się jej z łatwością i może jeszcze zabierze jej dziecko.

- To znaczy, że mogę zrobić z tą posiadłością, co zechcę? - upewnił się Brand.

- Owszem - głos prawnika stał się chłodny.

Bóg albo los wymierzają mi okrutną karę za niecny postępek, pomyślała Toni, czując, że robi się jej słabo.

Brand odchylił się do tyłu, skrzyżował wyciągnięte nogi w kostkach i uśmiechnął się do siebie. Toni zerwała się z krzesła i ruszyła do drzwi. Skoczył za nią, ale zatrzymał się i usiadł z powrotem.

- Muszę wiedzieć, co zamierza pan zrobić w sprawie rancza - zwrócił się do niego prawnik.

- Przed wszystkim umieścić nazwisko Toni na akcie własności. Poza tym trzeba otworzyć fundusz dla dziecka, a oboje uczynić moimi spadkobiercami.

W oczach prawnika pojawił się szacunek. Wstając, wyciągnął do Branda rękę.

- Po pana powrocie z Houston dokumenty będą gotowe.

W drzwiach ukazała się głowa sekretarki.

- Pani Lander odjechała. Poprosiła mnie o wezwanie dla pana taksówki na lotnisko.

Brand spacerował po arenie, sam się sobie dziwiąc, że nie ciągnie go do ujeżdżania. Wczoraj spotkał się

ze starymi kumplami, jednak całą noc myślał tylko o tym, że Toni nie odpowiada na telefony.

- Cześć, przystojniaku. - Megan, piękna jak zawsze, objęła go za szyję, ale odwrócił głowę tak, że pocałowała go w policzek. - Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiłeś. Zawsze twierdziłeś, że nie dasz się złapać żadnej kobiecie.

- Tak było, zanim spotkałem Toni.

- No cóż, kawaler czy żonaty, w tym tygodniu jesteś mój. W dziale marketingu wściekają się z powodu twojego odejścia. Trzeba zrobić co w naszej mocy, żeby osiągnąć jak najwięcej, zanim ludzie zapomną twoje nazwisko. Idź się przebrać.

Tak jak dawniej, poszła za nim do garderoby.

- Meg, powiedz mi tylko, co mam włożyć, i możesz iść sprawdzić, czy wszystko przygotowane.

- Nie będę ci potrzebna?

- Nie.

- No cóż, ta Toni to prawdziwa szczęściara - powiedziała Megan, bawiąc się guzikiem jego koszuli.

- Chciałbym, żeby ona też tak myślała. Czy jest tu telefon?

To idiotyczne. Kochał swoją żonę, ale zdał sobie sprawę, że nigdy jej tego nie powiedział. Może gdyby wiedziała, dałaby mu szansę. Jednakże nigdy jeszcze nie mówił tego żadnej kobiecie. Chce widzieć wyraz twarzy Toni, gdy powie jej, że ją kocha.

Toni oglądała świeżo pomalowane na niebiesko ściany dzieciennego pokoju. Odstawiwszy farbę,

rozluźniła zmęczone ramiona i wzięła do ręki czasopismo, w którym wypatrzyła wzór dekoracji. Nigdy, co prawda, nie malowała chmurek i tęczy, ale wszystko było lepsze, niż rozmyślania o tym, co robi Brand z Megan. Poranki upływały jako tako dzięki pracy, ale w samotne popołudnia nie mogła sobie znaleźć miejsca. Żeby chociaż kiedykolwiek Brand powiedział jej, że ją kocha...

Jeśli ma zdążyć przed jego powrotem, trzeba zabrać się do pracy. Ten dom ma wyglądać tak, żeby mężczyzna chętnie do niego wracał. Może Brand wróci.

Po namalowaniu pierwszej chmurki zeszła z drabiny, żeby obejrzeć rezultat. To samo zrobiła za drugim razem. Czeką ją jeszcze sporo wchodzenia i schodzenia, jeśli ma umieścić wzór dookoła całego pokoju, ale wychodzi to całkiem nieźle.

Schodząc kolejny raz z drabiny, usłyszała rozdzielające miauknięcie - niechcący nastąpiła na ogon jednemu z kociąt, bawiących się koło niej. Uskoczyła i tracąc równowagę, runęła na ziemię. Na szczęście nie spadła z wysoka, tylko farba rozprysła się dookoła. Wytarła podłogę i udała się do łazienki, by sprząć plamy z ubrania i umyć się. Nagle, kiedy stała pod prysznicem, spostrzegła, że ściekająca po nogach strużka wody zabarwia się na czerwono.

Natychmiast przeszła ją alarmująca myśl: ratować dziecko! Lekarza! Zawiadomić Branda!

Na drżących nogach dowlokła się do telefonu. Najpierw zadzwoniła do szpitala. Potem do Branda do hotelu. Włączyła się automatyczna sekretarka.

- Brand, ja krwawię - głos się jej załamał. - Upadłam i chyba coś stało się dziecku.

Wciągając na mokre ciało ubrania, próbowała przywołać kogoś z pracowników, ale nikogo nie było w pobliżu. Żeby nie tracić cennego czasu, nabazgrała wiadomość na kawałku papieru, przypięła go przy wejściu do szopy i wsiadła do samochodu. Dopiero teraz przypomniała sobie o komórkach, w które Brand wyposażył siebie, ją i Rusty'ego. Ale było już za późno. Aparat, do którego nie mogła się przyzwyczaić, leżał pewnie gdzieś w domu. Zresztą i tak nie pamiętała numerów. Gorączkowo przekręciła kluczyk w stacyjce i nacisnęła gaz.

Jeśli straci dziecko, straci i Branda, przemknęło jej przez myśl.

Brand przemierzał szpitalny korytarz, zdenerwowany jak nigdy dotąd. Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami i zajrzał do sali. Toni była biała jak prześcieradła, na których leżała. Nie powinien jej zostawiać. Dławiła go własna bezradność.

- Pańska żona dostała środek uspokajający - powiedziała lekarka, podchodząc do niego. - Niepokoi nas krwawienie, ale jeszcze nie mamy pewności, czy dziecko jest zagrożone...

- Kiedy będziecie wiedzieć?
 - Po wykonaniu ultrasonografii.
 - A co z nią, to znaczy, z moją żoną?
 - Niedługo będziemy wiedzieć.
- Nie doczekam się, pomyślał.

- Proszę się nią zająć.
 - Wydaje się, że dziecku...
 - Co tam dziecko, proszę się zająć moją żoną - zaskoczyły go jego własne słowa, podobnie jak łzy spływające mu po twarzy. Jasne, kochał to maleństwo, ale nie tak jak żonę. Dzieci mogą mieć wiele, ale Toni była jedna jedyna. - Muszę być z nią - powiedział stanowczo.

- Będzie teraz spała przez parę godzin, ale jeśli pan obieca, że nie będzie przeszkadzał, może pan wejść.

Brand już jej nie słuchał. Za chwilę, pochylony nad łóżkiem, sprawdzał palcem puls Toni, nie dowierzając aparaturze, do której była podłączona.

- Dlaczego monitor pokazuje sto uderzeń na minutę, kiedy ona ma tętno sześćdziesiąt?

- To, co pan widzi na monitorze, to uderzenia serca dziecka.

Pod Brandem ugięły się kolana.

- Czy to normalne, że są tak szybkie?

- Jak najbardziej - pani doktor poklepała go po plecach.

Jego dziecko. Dziecko Toni. Położył rękę na jej brzuchu opiekuńczym gestem.

Poranne słońce świeciło jej w oczy, ale Toni nie miała ochoty rozstać się ze snem. Przez całą noc śniła, że Brand trzymał ją w ramionach i mówił o miłości. Głaskał po włosach, obiecywał, że nigdy jej nie opuści i że będą mieli jeszcze tuzin dzieci, jeśli tylko ona zechce.

Przedtem był strach, współczujące spojrzenia, krew, zastrzyki. Nie mogła pohamować płaczu i wzywała Branda, dopóki pielęgniarka nie podała jej czegoś na uspokojenie.

Teraz jej serce znów przeszył ból. Ogarnęło ją uczucie bezmiernej pustki na myśl o tym, że straciła pewnie i dziecko, i Branda. Łzy popłynęły spod zamkniętych powiek.

- Toni?

Odwrociła głowę. Koło jej łóżka siedział Brand - błądy, nieogolony.

- Jak się czujesz, kochanie?

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Dzisiaj miała stracić to wszystko, co było jej drogim. Rozpaczliwie łykała łzy.

- Ale mnie wystraszyłaś - powiedział, biorąc ją za rękę.

- Przepraszam - szepnęła. Jak on musi jej nienawidzić, właśnie teraz, kiedy przez własną lekkomyślność naraziła go na utratę dziecka.

- Przestań, nie mogę patrzeć, jak płaczesz - powiedział, ocierając jej łzy kciukiem.

Usiadł na łóżku i wziął ją w ramiona. Jak to możliwe, żeby był taki czuły, choć od pierwszego dnia znajomości ta anielska diablica sprawiała mu same kłopoty?

- Obiecuj, że już więcej nie będziesz się spieszyć do szpitala, zanim nasz mały sam da znać, że chce wyjść na świat.

Toni drgnęła.

- Co?

- Patrz, to bije jego serce - powiedział Brand, wskazując na monitor.

Kiedy ujął ją pod brodę i zajął w oczy, w jego spojrzeniu było tyle uczucia, że wstrzymała oddech.

- Zabieramy mamę na USG - powiedziała pielęgniarka od drzwi. - A tata, jeśli będzie grzeczny, może popchać wózek.

Dwadzieścia minut później Toni spoglądała osłupiała na Branda. Lekarka i pielęgniarka uśmiechały się do nich.

- Na razie nie można jeszcze rozpoznać płci, ale już widać, że oba serduszka pracują prawidłowo.

Bliźnięta!

Wracali do domu w milczeniu. Potem Brand zaniósł Toni na rękach do domu, jakby była czymś nieskończenie kruchym i cennym. Z niezwykłą ostrożnością ułożył ją na łóżku. Podszedł do okna. Widziała, jak jego ramiona unoszą się i opadają, kiedy brał głęboki oddech.

- Brand, ja... - Toni gotowa była przyjąć jego zasłużony gniew.

- Niech to diabli, Toni, bałem się, że cię stracę...

- Brand przeciągnął dłonią po twarzy.

- Wiem, że martwiłeś się o dziecko - powiedziała przez łzy. Tak bardzo pragnęła, żeby wrócił ten piękny sen, który śniła ostatniej nocy.

- O dziecko? - W jednej chwili znalazł się przy łóżku. - Czyżbyś nie słyszała nic z tego, co ci mówi-

łem ostatniej nocy? - Westchnął i przysiadł na krawędzi, ujmując jej dłoń w swoje. - Jasne, że pragnę tych dzieci, ale jeśli mielibyśmy je stracić, możemy mieć następne...

Musnął jej wargi ustami. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, dostrzegła, że jego oczy zasnuły się łzami.

- To ciebie boję się utracić, Toni. Kazałem prawnikowi umieścić twoje nazwisko na akcie własności - dodał po chwili. - Tak jak się umówiliśmy.

Powinna się ucieszyć, a odczuła zawód. Przez chwilę łudziła się, że on powie co innego.

- Dziękuję. Nie wiesz, ile to dla mnie...

- Kocham cię - powiedział pośpiesznie i z takim niepokojem, że Toni miała wrażenie, że musiała źle zrozumieć.

- Co takiego?

Brand nabrał głęboko powietrza i wyprostował się. Na jego twarzy malowało się skupienie.

- Kocham cię i nie chcę cię stracić.

- Jak to? Mnie?

- Tak, wyobraź sobie, że kocham moją upartą, apodyktyczną żonę, która nie boi się nawet węży - Brand próbował uśmiechnąć się ironicznie.

- Jak to możliwe? Od początku sprawiałam ci same przykrości.

Natychmiast spoważniał.

- Żadna kobieta nie złości mnie, nie podnieca i nie pięści tak jak ty. Nie zamierzam się tego wyrzec.

Toni ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

- Ja też cię kocham - szepnęła, gładząc dłonią jego szorstki policzek.

- Naprawdę?

- Czego innego szukałam, jadąc do Las Vegas, ale chyba wygrałam los na loterii, spotykając ciebie. Niczego nie pragnę bardziej niż stworzyć tu dom z tobą i naszymi dziećmi.

Brand pochylił się nad nią i ujął jej twarz w dłonie.

- Pragnę spędzić z tobą resztę życia, Toni, i jeśli Bóg pozwoli, mieć tyle dzieci, ile będziesz chciała. Możesz otworzyć prywatną praktykę. Zbudujemy na ranchu klinikę i w czasie, kiedy ty będziesz pracować, ja będę doglądał dzieciaków.

- I na odwrót. Będziemy grać w jednej drużynie.

Toni chwyciła Branda za szyję i przyciągnęła do siebie.

- Co to znaczy, że jestem uparta? - zapytała ze śmiechem.

Zamiast odpowiedzieć, zbliżył usta do jej warg - i wreszcie zrozumiała, że nie musi się więcej martwić o płeć swoich dzieci.

Zrozumiała też, że Brand już nie odejdzie.